

WIEŚ ILLUSTROWANA



LIPIEC
1912



„J. SOSNOWSKI”

wł. C. LISOWSKI

WARSZAWA, Trębacka Nr 9. Telefonu Nr 47-47.

poleca wielki wybór DUBELTÓWEK — fabryk:

WESTLEY-RICHARDS & Co Ltd., London; W. W. GREENER, London; G. DEFOURNY-
SEVRIN, Liège; MANUFACTURE LIÉGEOISE D'ARMES A FEU Liège

SZTUCERY: J. SPRINGERA, HEYMA, MAUSERA,
WINCHESTRA, FRANCOтта i innych.

..... Cenniki na żądanie.



NOWOWYBUDOWANY HOTEL FRANCUSKI (HÔTEL de FRANCE)

W KRAKOWIE PRZY ROGU UL. ŚW. JANA
i PIJARSKIEJ

W spokojnym położeniu
plant w pobliżu stacji
kolejowej i głównych
arterji miasta.

OSTATNI WYRAZ KOMFORTU I HYGIENY!

W każdym pokoju telefon, automatyczny przyrząd do budzenia, ciepła i zimna woda, pokoje z wannami, apartamenty familijne, 3 windy elektryczne, ogród zimowy, Vaccum cleaner, własna pralnia elektryczna, restauracja, kawiarnia, czytelnia, fryzjer męski i damski. Autogaraż.
Automobil przy każdym pociągu.

ZAWIADOMIENIE.

Po gruntownej i artystycznej przebudowie otwarto
RESTAURACJĘ W HOTELU ANGIELSKIM
(Wierzbowa Nr 6)

Z poważaniem **J. JORDAN.**

Telef.: bufet 5-90, sala 27-28, gabinety 20-74, szatnia 36-02.

PODANIE O PRZYJĘCIE do Męskiego Prywatnego Seminarjum dla Nauczycieli Ludowych w Ursynowie

wraz z dokumentami (świadczenie szkoły, metryka, świadectwo powtórnego szczepienia ospy, piśmienne zobowiązanie rodziców do regularnego wnoszenia opłaty szkolnej, zaświadczenie 2-ch osób wiarogodnych co do moralnego prowadzenia się kandydata i krótki własny życiorys) należy nadsyłać przed 15 sierpnia r. b. pod adresem: Warszawa, skrzynka pocztowa № 377.

Kandydaci na kurs I (w wieku od lat 15 — 17) i na kurs II (w wieku od lat 16 do 18) winni się stawić na egzamin w Ursynowie dnia 29 sierpnia o godzinie 10 rano.

Kancelarja Seminarjum wysyła na każde żądanie program i warunki przyjęcia.



FIRANKI DYWANY Materje meblowe
PORTJERY

Własnej fabryki

Z. Kiltynowicz

N^o 16 (wprost
Erywańskiej)

ul. Mazowiecka N^o 16.

Wies' ilustrowana



Turbijówka

Żniwa na Rusi.

(fot. M. Potockiej).

ŻNIWA.

„... chcę, żeby w letni dzień
w upalny letni dzień
przedemną zżęto żyta łan...
St. Wyspiański.



łowieją już żytnie łany!

Lipcowe słońce ściera z nich delikatną szaro-zielonawą patynę wiosny, zlewa fale letniej pożyty, wygina żdźbła ciężarem pełnych, ku ziemi czoła już chyłających kłosów.

I pszeniczne żółkną już pola, nabierając połysków złocistego brązu, w którego gorących refleksach gasną już szafiry więdnących modraków i fiolety ostróżek i maku, wielkie czerwone oczy.

Obwisły wąsate kłosa jęczmienne, pobielają owsy.

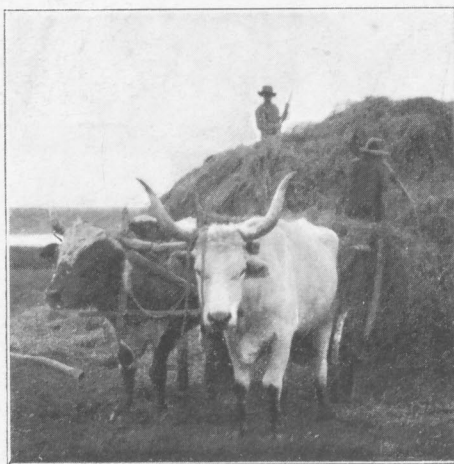
Jeszcze dzień, jeszcze dwa, a zabłysną po polach kosy i sierpy, zabrzęczą noże żniwiarów, ozwie się echem przeciągłym a wesołym wiejską pieśń żniwna, radości i nadziei pełna, roześmiana w ohotnym trudzie — matce ziemi na podziękę, na chwałę...

W całym roku gospodarskim, rolniczym chwila to najweselsza bodaj, w pieśni też co po łanach płynie streszcza się wszystko

dobre i radosne i dumne z siebie uczucie rolnika, cała jego nadzieja, cała wiara w zagon i całe doń, od wieków z duszą zrosłe przywiązanie.

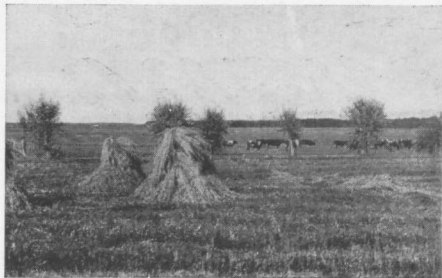
Rolnik ziemi swej wierny zawsze; wtedy, kiedy schylony nad żelazem oraczem pruje nim czarną skibę i kiedy w nią rzuca na nowy zbiór ziarna przygarści i kiedy ruń jesienną, zieloną, śnieg pokryje; wierzy, że ziemia wypełni swój obowiązek

żywicielki, że zapłodniona urodzi, że przez zimę w pierś macierzyńskiej chleb dla ludzi utrzyma i przed mrozem obroni, że z wiosną wszystkie siły swoje na wzrost tego chleba obróci. Ale kiedy ziarno życiodajne dojrzeje już na polu, kiedy przepiórka z pośród kłosów „pójdźcie żać“ zawoła — rolnik idzie na zbiór nie z wiarą już, ale z wdzięcznością, że nie zawiodła go ta, co tysiące razy dotrzymała mu chlebnej tajemnicy żywota, której jedynej w świecie wierzy też bez zastrzeżeń zawsze



Zbiór nad Zbruczem.

i którą nadewszystko kocha...



Snopy w polu. Widok z Kirupia,
(Witebska gub. wł. hr. Adama Plater Zyberka).



Podole. Żniwiarki.
(fot. amat. Ostromęckiego).



Grabienie mieszanki.
Piotronki ks. Poznańskie hr. Bn'ński.

Po żółtej szczytce ściernisk świeżych długimi rzędy leżą garście żytnie pożętych kłosów; wzdłuż nich idą żniwiarzy szeregi. Po troje na dwa rzędy; jedno, powróśło z łatosiej kłoci zimą skręcone, świeżo wodą zmoczone w strudze — na rżysku rozciąga, drugie garście na powróśło „zazbieruje“ i składa a trzecie wiąże. Przeszli od końca do końca łąn, stanęli, pot otarli z czoła, dziewczuchy piosenkę nową, „od kraja“ zaczęły, zachodzą na drugie garści z powrotem znów, w drugą stronę.

Słońko wysoko już, kiedy „na południe“ stanęli. Schodzą z pola, na miedzę, pod grusze, pod brzozy, pod jakie tam Bóg da drzewa przydrożne, siadają na wypoczynek, posiłek; ode wsi bab i dzieci sznur idzie, dwójki dźwigają i chleba glony czarnego żniwiarzom na obiad.

Obiad, pogwarek, trochę drzemki „do słońca“ aż zdaleka, od dworu, dzwonek „na przypołudnie“ zadzwięczy, albo „maszyna“ gwizdnie.

Na łąnie znów piosnka odzywa się echem, znów czerwone, mocne, zwinne ręce migają się pełne kłosów, nad szerokim ścierniskiem...

„Na odwieczrz“ przed nocą, od rosy i od deszczu trzeba snopy poskładać. I te po kosie, i te drutem wiązane, co je „wiązałka“

zostawiła. W „mendle“ albo w „półkopki“. W mendle składa się zwy-

kle żyto, pszenicę — w półkopki krótkie zboże — jęczmiony, owsy. Mendel — snopów piętnaście ma, złożonych na sobie w krzyż; dwa ramiona po trzy, a dwa po cztery snopy; „kłocią“ (kłosami) do środka „kné-

wiern“ (uciętą stroną ździebeł) od pola. W środku piętnasty snop stawia się „na chochoł“ na przykrycie kłosów, do góry „knéwiem“. Półkopki snopów mają po trzydzieści, złożonych w piramidę dwoma rzędami „kłocią“ do środka.

Kiedy schodzą z pola na wieczór, połowy rachuje mendle czy półkopki. Rachunek to przybliżony, bo na polu oko pomylić się może, a karbowy w gumnie, czy na stercie i tak „na karbikach“ sprawdzi, przy zwózce. Ale „kielo telo“ wiadomo jak też ta w tym roku obrodziła rola.

Ranek pogodny, czysty, wstał.

Słońce rosę wypilo, snopy w polu pod promieniami jego obeschły już — „od śniadania“ zwózka. Jadą „półtoraki“ w pole.

Cztery „fornalskie“ w lejc, fornal stojący „na litrach“, z przodku, powozi, rozwija bat czworny na biczyku w skórę obszytym, pierścionkami nabitem a strzela! Sosnowe „litry“ (drabiny) ino dzwonią, jak ta koło kasik „rajfą“ o kamień wytnie, a pomocnikowi, co siedzi bokiem w drabinach, nogi przez „buchy“ na dół zwiesiwszy, aż zęby ognia dają. Po snopy jadą!

Na polu półtoraki przy mendlach stają, każdy na swoim rządzie. Połowy

przy nich komenderuje pojeżdża wozem „z ziemie, idęcy“,

to jednemu, to drugiemu pomoże snopy na wóz dźwigać. Fornal na wozie, „warstwę“ układa, pomocnik snopy mu podaje.

Układać „śwarnie“ trzeba, bo z bele czem do stodoły jechać nie można, a „półtorak“ to nie



Grupa robotników żniwnych na Ukrainie. (fot. Dobrowolskiego).



Kalinowiec, gub. Warszawska,
(zdjęcie Stan. Stopczyka).



Kalinowiec, gub. Warszawska,
(zdjęcie Stan. Stopczyka).
Z WÓZKA W STERTY.



Z Łuszczewa,
(z teki amat. H. Mittelstaedta).

„saska kolej“! Na półtorak trzy kopy a już półtrzęciej najmniej wziąć trza, dla fornalskiego honoru choćby.

Jadą naładowane do stodoły wozy. Fornal, z wysoka, na snopach klęcząc, powozi, pomocnik z widłami idzie obok. Gdzie droga zła furę przytrzyma, żeby się nie „zważyła“, gdzie z góry zjazd „przykry“ shamuje, „sukę“ pod koło kładąc, czy koło biorąc na łańcuch. A gdzie już równo, na furę z tyłu w jeździe się drapie, bo by i niezdażył „na piechty“ do stodoły, jak fornalka kłusa ruszy.

W stodole w „zastroniu“ słoma podesłana, dziewczuch kilka, lub więcej i chłop choć jeden do układania „warstwy“. Póki snopy z wozu na dół lecą to „fracha“ ale skoro „warstwa“ podrośnie i do góry widłami każdy snop wydać potrza, rosa na czole staje.

Rachują przeciągle, z akcentem: osiem dwa-dzieeścia, dziewięć dwa-dzieeścia, półkopyl jeden półkoopy, dwa półkoopy.... ko-o-opa!!!

Już ją karbowy znaczy. Na patyku długim, ostruganym porządnie, z za cholewy wyjętym „kozikiem“ karb wyrzyna, a co dziesięć karbów „krzyżyk“, jak rzymska dziesiątka. Na tych „karbach“ ekonom czy pisarz na „główce“ numer Pola zapisał i notatkę krótką: czy zbiór po kosie czyli też za żniwiarką, (na sierpy już dziś nie żynają podwozach), i gatunek zboża. Potem, po

zwózce skończonej karby idą do „kancelarji“ jako dowód rachunkowy do rejestrów.

Chleb w stodole. Zebrany. Już tylko młócić a mleć....

* * *

Najpiękniejszy życia trud — żniwo — tym tylko dan, co z ziemią na żywot i na pracę zawarli ślub...

Tym tylko co w prostocie duszy i chęci tak mocno do ojczywego zagona wiarą, miłością i znojem własnym, ciężkim, przywarli, że ani pokusa innego życia, ani uciecha, ani rozkosz, ani sławy pożądanie nie zdołały ich odeń odedrzeć — ani nie stało im serca sprzedać tego zagona — — za miskę soczewicy...

Są, których niespokojna chęć wyprowadziła z roli w szerokie gościńce innych prac, innych znojów, odmiennych walk, innych pożądań...

Są, których górna myśl wywiodła w przestrzeń rozległą dociekań i badań, poszukiwań zaciekłych, w wiekiutą pogoń za światłem, co twarz swoją przed ludzką ciekawością odwraca...

Są, co lekką stopą i lżejszym jeszcze sercem odeszli z ojczywego zagona, sami nie wiedząc czego chcą, za czem tęsknią, gdzie los ich kroki skieruje...

A kiedy przychodzi pora żniwna, kiedy zmęczone życiem ich oczy za miejskie



Żniwo. „Za kosą.“



Rusinka u żniwa.
Turbijówka. (fot. p. M. Potockiej).

mury wybiegną w pola, owija im serca jedna i ta sama szara tęsknica ciężka.

Bo nie zawoła już do nich nikt:

„Przyjdiesz w upalny, skwarny dzień
„Pod złoty, żytmi bróg
„I legniesz jak liljowy cień
„U moich nóg...
„Twój głos by srebrny sierp zadzwoni
„Gdy o dojrzały bije łan...
„Pochylisz ku mnie miodny dzban
„Pić będę z Twoich dłoni...*)

I jest wtedy taka chwila, kiedy całe swoje żniwo myśli i pracy — majątek, dorobek, tanowisko, przebyte walki, wyczerpane wrażenia, wypite kielichy rozkoszy, wszystką nadzieję i wieniec sławy oddaliby — za jeden, z własnego zagona zżęty, kłóśny wian...

S.

MELANCHOLJĄ.

W duszy mej szepcze głos tęsknoty,
A dziwnie rzewnie łka
Rwie się marzenia łańcuch mój złoty
I smutek w duszy drga.

Nie wiem ja nawet czy to jest warto
Dążyć wciąż z biegiem fal,
Po tę tajemną nić już wydartą
Lub rwać się ciągle w dal.

W koło mnie widzę gęste i szare
Doli mej smutne mgły,
Wspomnień ubiegłych ścigam wciąż marę,
A w oczach czuję łzy.

Żal za tem wszystkim co było żywe
A obumarło już
Co było jasne, szczytne, szczęśliwe,
W porannym blasku zórz.

Czego mi żadna nie wróci siła,
Żadna nadludzka moc,
Co już mi ciemna skryła mogiła,
Gdzie wciąż panuje noc.

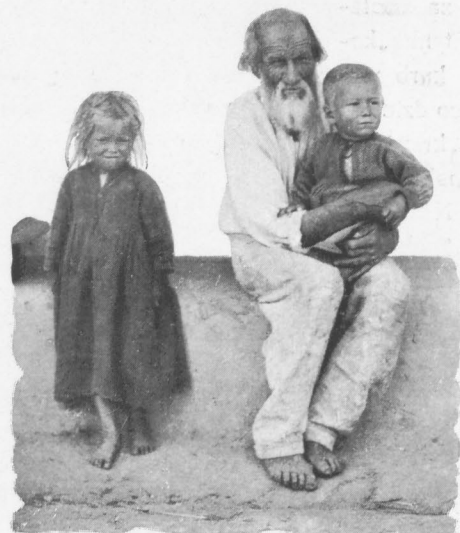
Mkną lata chyżo, mkną błyskawicą
W bezpowrotności dal,
Zaledwie błysną, porwą, zachwyca
Zostaje po nich żal.

Hen gdzieś w oddali piosenka płynie
Z rodzinnych łąk i pól,
Szczęście tam niesie, gdzie się zawinie
Koi cierpienia ból.

Wdzięcznem swem echem wszędzie dociera
Tam gdzie zwątpienie dusz,
Kojąco jakoś piersi rozpiera
I ściera ślady burz.

Lecz mnie nie nęci nuta radosna
Smutny jest dla mnie świat,
Straciła dla mnie powaby wiosna
Już uwiądł — szczęścia kwiat.

IGNACJA PIĄTKOWSKA.



Turbijówka.

Wszyscy zną w polu, w chacie starcy i dzieci.

*) Antoni Szandlerowski, — „Liryki“.

WERA SKÓRKOWSKA.

BAJKA

(NOWELA WYRÓŻN. NA KONK. „TYG. ILUSTR.“).



Na wysokiej górze, ponad Białem Miastem, wznosi się zamek królewski, jakby z mgły i łoż perłowych wy- czarowany, dumny zamek panów tej krainy... Otacza go prastary park... Drzewa kłonią swe pyszne głowy do stóp zamku białego, i szumią ciche ta- jemne modlitwy... W głębi parku jest jezioro, zwane Świętem, otoczone zwar- tym pierścieniem białych lilji, błyszczą jak zwierciadło wróżbiarskie czarno- księżników, mieni się tęczą, zielenią starych szmaragdów, czasem zabłyśnie i usnie w mro- kach myśli swoich... A lilje jak szereg aniołów bezcielesnych trzymają przy niem straż...

Od niepamiętnych czasów, niewolno nikomu do- tykać świętych kwiatów — rwać i tulić do łona lilje białe, może tylko królowa... Tak jest przepisano od wieków.

Na zamku rządzi stary król, nie ma on syna, ni następców dzielnych, tylko córkę jedyną.

Cudem jest królowa... Kibić jej niby łodyga kwietna, giętka i dumnie wyniosła... Twarzyczkę jej, świątynię zadum tajemniczych, bladą jakby ze śnień słodkich zbudzoną, ożywiają usta... róże roz- koszy... na śmierć, zatracenie... oczy zielone, lśniące ogniami dziwnymi, mienia się jak toń sta- rego jeziora, oczy grzeszne... o błyskach dziwnych, otoczone rzęsami czarnymi niby melodyjnym sito- wem drżącym... Dłonie z alabastru przeświecilo- nego słońcem, kładzie na włosy swe czarne i mil- cząc, wchodzi na komnaty zamkowe... Zamyślenie położyło wieniec maków drżących na jej skronie, by czekała w skupieniu wyroków swych.

Senna milcząca królowa...

Gdy słońce za bory kłoni się i purpury śle na taras zamkowy — wtedy młoda królowa tam po- dąży...

Ręce jej są skrzyżowane na piersiach, a stąpa wolno jak we śnie... Włosy ma oplątane sznu- rami pereł, które pławiąc się w łunie zachodu, igrają ogniami, lśnią złowrogo. Na środku tarasu zatrzymuje się i zwraca twarz ku miastu. Stoi tak nieruchoma, zamyślona, niby zjawisko białe w bla-



Staw w Posuchówce. (fot. am. p. J. Korab-Brzozowski.)

skach zamierającej zorzy... A gdy ostatni pro- mień słońca skona u jej nóg, wypływa z wol- ną, jak we śnie dziwnie męczącym pogrążona... Idzie ku Świętemu jezioru. Jak biała wróżka na- natchniona, idzie tam, gdzie bieleją lilje śnieżnych kielichy i pięści operlone rosą wieczorną kwiaty święte, a one jakby niezadowolone z tej pie- szczoty, kłonią smutne kielichy.

W zamku jest stara kaplica. Kolumny jej wy- smukłe do myśli zwiastunnych podobne, jak kwia- tów olbrzymów pędy, podtrzymują sufitu sklepie- nie — przez stare witraże wyobrażające czyny bo- haterskie królów umarłych — pada światło, zda się, że przez góry kamieni drogich płynie snop świetli- sty i umęczony, mdlejącym pocałunkiem pada na ko- lumny, odrzwia, obrusy, chłonąc wszystko upojnie.

W ołtarzu stoi postać wykuta z białego mar- muru, Anioła o pięknym niewzruszonym obliczu.

Boga zuchwałego.

Pewnego swej straszliwej piękności.

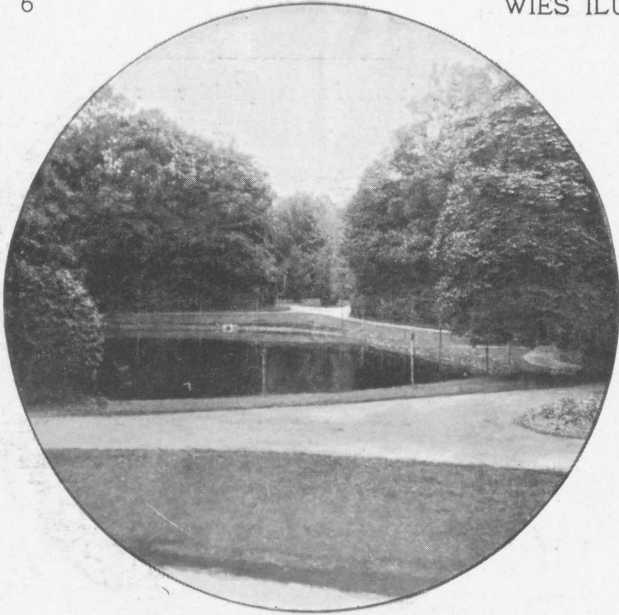
Anioł dumy aż do śmierci. I Mocen nad Moce wszelkie.

Młoda królowa całe dni przepędza w kaplicy patrząc w twarz Anioła.

Wchodzi cicha, zamyślona, niosąc pęk lilji bia- łych — zbliży się do ołtarza, głowę swoją króle- wską, marzenie o piękności niewysłowionej pochyla do stóp Anioła i ust cudem przypada do chłodnych jego nóg... Lilje białe rzuca na ofiarę Boga pię- kności i patrzy... patrzy... w blade przepiękne obli- cze, w młodzieńczy kształt postaci.

Czy modli się do niego o spełnienie marzeń promiennych, czy podziwia piękność?..

...Oczy jej płoną, patrzy zadumana, tajemniczo.



Pojeziory. Część ogrodu.

Ucztują wesoło na sali zamkowej. Stary król siedzi w krześle rzeźbionem i patrzy w krąg łaśkawie. Słowem uprzejmem bawi młodego królewicza, siedzącego mu po prawej ręce. Młodzieniec jest piękny jak światło poranku wiosennego, włosy jasne spływają mu na zbroję drogocenną, czoło myśli snuje tęskne, siostry gwiazd dalekich. A piękność jego jest urodą rodów umierających. Młody królewicz, dziedzic korony, jako mąż przyszły królowny.

Zjechał dziś z dalekich stron poznać żonę wybraną mu przez ojców... Czeka na ukazanie się nieznaney... Nie bawi go uczta, pieśni, toasty... czeka...

Cicho otworzyły się drzwi boczne, i poprzedzona tylko przez piastunkę starą weszła Ona... Jak pocałunku tchnienie otula ją szata biała, pajęczka. U piersi lilje śnieżne tulą się smutne — we włosach czarnych lśni wąż rubinowy. Wionęła przez salę jak sen o tęsknocie, przez duszę samotnika i do ojca przypadła.

Książę zbladł, ukłon rycerski złożył damie — oczy jej jak martwe spojrzwały ku niemu, uśmiechnęła się smutnie...

Ucztują.

Brzmi toast radosny, za zdrowie córki królewskiej...

Powstała dumna — płaszcz włosów czarnych okrył ją siecią gorącą, wonną... Wzięła puchar złoty i do ust podniosła.

— Na sławę moją, na czyn, na śmierć...

— Na sławę.

Ujął jej rękę pieściwie.

— Od wieków śniłem o tobie, dlatego oczy moje smutne i uśmiech bolesny, przyjechałem tu po szczęście czy zatrącenie, nie wiem.

Uśmiech dziwny na usta jego padł.

— Już kochasz mnie — czemu?..

— Ty nie jesteś królową dla państw naszych, ale cudem śmiertelnym.

Cień przemknął po jej bladej twarzy.

— Ty królewiczu, miasta korona stara, to tylko mój sen o ziemi...

— Dłonie twoje liljowe słodkie, a kibić twa jak palma dumna pogina się, oczy twoje rozgorzałe widzą jakieś zwiastunne zjawy przy jeziorze Świętem, a usta uśmiechają się nie widząc mnie, gardzisz mną, chłodem wionie twój smutek i zamyślenie. Lecz za cierpienie, które mi niesiesz dzięki ci, ja żyłem tylko marzeniem...

Patrzy miłośnicie.

— Czy pokochasz mnie? — błaga.

— Jutro odpowiem ci królewiczu — może jako oblubienica dam ci ust pocałowanie, dziś mam lilję świętą u łona i śmiertelnemu tknąć mnie nie wolno.

— Ty dla boga jasnego stworzona nie dla mnie, jakąś siłę czy zbrodnię czuję przy tobie, zginę przez ciebie ja, państwo twoje — i ten zamek wyniosły.

Wstał blady. Królowna roześmiała się z przymusem, lęk wypelzył, oślizły, potworny i czepiał się białych ramion królewskich.

Opanowała się — podniosła głowę dumnie.

— Silna jestem, nic mnie nie zwalczy, wypełnię czyn miłości mojej, a zginę, czy świat, zorzą świetlistą zadziwię — zobaczym. Jutro dowiesz się o wszystkim.

Biała jak promień księżycowy na kwiecie wiśni kwitnącej, wypłynęła z sali.

.....
Poświecił księżyc sływa przez barwne witraże do kaplicy, niby tęcze mistyczne, łamie się, pocałunkami łączy światła, jak wróżba z dymów wonnych arabji upaja... kocha... zachwyca...

Cisza.



Wyjazd wesela dworskiemi końmi do kościoła w Lubiejowie (w majątku pana Kakietka) (fot. p. Urbańskiego).

Anioł biały, mocy swej władczy pan duma w ołtarzu surowy, nieugięty.

Nagle, szmeru dźwięk pieszczony, zakolysał się na strunach księżycowych i półszepcem skonał...

Od drzwi idzie postać dziwna, widzenie miłości, królewna... Nagą postać z mgieł porankowych wycalowaną miłośnicie, okrywają włosy płaszczem obronnym, włosy czarne, lśniące, rosy pereł i djamentów płaczą wśród nich ogniem gwiazdnym. Na dumnej główce błyszczą prastara korona, znak woli i panowania tej ziemi... na piersiach słodkich, na biodrach smukłych układają się sznury klejnotów przebogaty, szmaragdy tajemnicze, rubiny krwawe, opale zawiane marzeniem tęsknem, chryzolity kuszące, smutne perły i djamenty królewskie, a wśród tej powodzi mieniających się skarbów, jak wstęga czarodziejska płynie pas krwawy rubinami nakładany z małym sztyletem... Stóp białych kwiaty, idą wolno po chłodnej posadzce kaplicy.

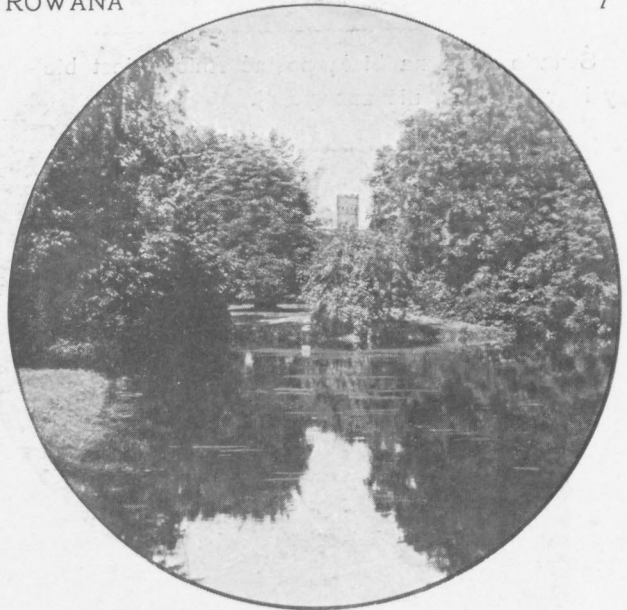
Zatrzymała się przy posągu.

Anioł niezłomnej piękności patrzy chłodno w dal... a u jego stóp stoi z oczami modlitewnie wzniesionymi widzenie ognia... szału, grzechu...

Przykłęka. Oczy swe zachwycone przymknęła, wyciągnęła białe ramiona...

Z rąk jej wysunęły się lilje święte i pękiem śnieżnych wizji upadły na stopy Anioła... Westchnienie skonało... cisza... A z ust jej purpurowych, obłakanych męką miłosną, zaczęły padać słowa wirów miłosnych.

— Panie mój, oto przyszła chwila, gdy oblubienie przez ojców mi przeznaczony, przybył po moją piękność, by ją osiąść na wieki... Słowa jego są martwe dla mnie jak zasłona śmiertelna, a kochanie jego smuci mnie, bo kocham tylko Ciebie, Boże mój... Przyszłam dumna z wyzwaniem na ustach, by cudem wspaniałej postaci mojej obudzić twe martwe wejrzenie, ale niestety słowa me sko-



Pojeziory. Część ogrodu,

nały w miłosnym zachwycie, tylko prośba błagalna pozostała...

Patrz, jakem piękna... Niema mnie równej na ziemi, bom stworzona na to, by Ciebie kochać... śmiertelny nte zniósłby mojej piękności, zabiłaby go jej siłą...

Zamilkła...

Usta drżą lekko dziecka, oczy płoną... Cisza.

Włosy jej wonne zmiatają pokornie stopy marmurowe.

— Boże! nad głową moją szumią skrzydła wyroków tajemniczych, wszystko dokoła czaruję. Zginę, gdy zechcesz, lub światłem złocistym zapromienieję.

Zerwała się dumna.

— Patrz na mnie. Płomieniem ciała obudzę do życia marmur chłodny, a pocałunkiem ust otworzę ócz twoich głębię tajemną, równy mi jesteś tylko ty, a miłość moja pokona Boskość twą... Ogarniesz mnie... przytulisz... całować będziesz me wargi... i oczy moje...

— Nocami śniłam o tobie. Musisz kochać mnie, musisz...

Szept załamał się i padł na lilje święte.

A ona... stoi zwycięzka w swym uroku... grzeszna... patrzy w twarz Anioła...

Biały cherubin, Mocen nad moce wszelkie milczy, groźny, piękny, niewzruszony...

— Milczysz, Boskość twoja wielka jest, lecz pragnienie moje, jak wszechświat, łuną płonie...

— Zburzimy miasto i otoczeni borami, będziemy miłość naszą na zatracenie upojne kołysać.

— Bo dla mnie jesteś w tym białym ołtarzu, a sny duszy mojej są twoje, a ciało moje to twe go marzenia cud, bo jestem myślą twoją... Powiedz...



Wesełnicy z muzyką wychodzą na spotkanie dziedzica (Lubiejów, majątek p. Kakiętka).

Światło pada na białą postać Anioła, jest biały i groźniejszy, niż zazwyczaj.

jak kwiat róży, ukochana głowa pochyli się ku ustom moim... Milczysz jeszcze, niewzruszony?...



Portret pani A. R.

(fot. p. Jana Bułhaka z Peresieki).

— Miłość moja jest większa od cudu i występku, jest, jak kraj mój cały... Winę twego przebudzenia biorę na ramiona królewskie moje, i przeciw Mocom walczę Miłością... I głowa twoja

Cisza.

Płaczą słowa królowny...

— Nie ja sama umrę na gruzach marzeń moich, słyszysz?.. zginiesz i ty...



Krajobraz Litewski

(fot. p. Jana Bułhaka z Peresieki).

Anioł dumny wpatruje się w dale zaświatowe,
czysty, cudny, chłodny...

Z kąta mrocznego wzięła stalowy, błyszczący
młot, chłodny, jak rzeczywistość.

Białe dłonie ujęły go mocno, mocno...

Zbliża się do Anioła.

— Nie chcesz mnie?..

Cisza...

— Nie ugnę się, ty Mocen nad Moce wszel-
kie, lecz jam królowna... zginiesz!..

Uniosła młot wysoko, nad głowy swej kwiat
czarowny.

Przymknęła oczy... Błysk stali...

Uderzyła raz — drugi — trzeci. — Otwarte bó-
lem obłąkane oczy widzą u stóp swych kawały
roztrzaskanego marmuru. Zeszpecona głowa Anioła
Niezlomnego gniecie lilje święte... Cisza... Mar-
twa Cisza Ziszczenia...

Dokonało się.

Królowna czuje duszę tłukącą się po resztkach
kamieni, duszę tajną, jak kwiat świętojański...
Niema miłości... Pustka... Skończyło się...

Niema serca, tylko rana umarłych złudzeń...

Nic, tylko kamień bez duszy? Czemu tak?..

Siedzi bez odpowiedzi...

Wstała... Drżącymi rękami zrywa klejnoty, pa-

dają, jak lzy na duszę i dźwięk ich kona z jękiem...

Starą koronę dumną depce z pogardą, włosy
okrywają ją czarną chmurą... Pozostał tylko pas
rubinowy... Wyrwała sztylet, pędzona jakimś po-
śpiechem i przyłożyła do piersi...

Sztylet wbity w pierś śnieżną...

Krew purpurowa spłynęła na posąg, płamiąc
sznurem koralowym lilje święte...! lilje centkami krwi.
Królowna upadła z jękiem...

Z ostatniem westchnieniem królowny umarło
jeziro stare, tajemnicze. Umarło z przerażenia...

Cały krąg lilji świętych, niepokalanych kwiatów
czystości, pokrył się plamami zbrodni... plamami
krwi...

Klątwa zaziemska owionęła cały kraj płaszczem
zniszczenia. Zamek opustoszały... przeklęty... Po
komnatach jego błdzi obłąkany, siwowłosy króle-
wicz z dalekiej krajny... Strzeże on kaplicy z ro-
zbitym posągiem Anioła Niezlomnego... Tam spo-
czywają zwłoki królowny pięknej...

Nad umarłym jeziorem rosną zwartym wieńcem
lilje o stygmatach krwawych... groźne... niepo-
ruszone...

Wyroki wypełniły się...

BIJATA

(Z PODAŃ LUDU ŻMUJDZKIEGO).

(Dokończenie.)

Ojciec mój schnął jak ów dąb samotny, bez rosy i słońca, a matka nikła, traciła siły; przypisywano to jednak wielkiemu nabożeństwu i nocom bezsennym, przy usłudze u ognia świętego.

Jednej nocy, pozostawiona sama przy Zniczu na straży, matka zasnęła z wielkiego znużenia,



Kurlówka przy moście.

a skoro inna dziewica przyszła aby ją zastąpić, zastała ognisko zagasłe!

W tej chwili dała znać kapłanom o tym wypadku. Powstał wielki zamęt wśród czystych dziewcząt, gdyż zagaśnięcie ognia świętego, uważano za przepowiednię wielkiego nieszczęścia dla kraju.

Zgromadzono się na naradę, aby wydać wyrok na niedbałą Weronikę, która podług srogich praw miała być karana śmiercią, gdyż tylko otiara jej życia mogła przebłagać gniew srogiego Perkunasa.

Już zapalono stos, na którym miała spłonąć winna tak wielkiej zbrodni, kiedy zrozpaczony ojciec mój, upadłszy do nóg Krewejty, błagał o darowanie winy, nieszczęśliwej, lub pozwolenie podzielenia jej losu — a przytem, wyznał miłość wzajemną.

Oburzeni kapłani długo radzili. Dwa sprzeczne ścierały się zdania. Jedni żądali śmierci obojga, drudzy, których była większość, wypędzenie niegodnych z gajów świętych; wymiaru sprawiedliwości mówili, niech dopełnią obrażeni bogowie. Krewe-Krewejte miał nad nimi wyrzec tylko straszne słowa kłątwy.

Stało się — padły wyrazy, które odbiły się o poświęcone dęby, zapadły w serca nieszczęśliwych, jako przepowiednia przyszłości złowrogiej.

„Niechaj Perkunas święty, bóg piorunów i trwo-gi, nieda wam doświadczyć szczęścia, przeznaczonego

zwykłym śmiertelnikom, a oby gniew jego ścigał was, aż do ostatniego potomka rodu za to, że zaznawszy szczęścia i upojenia w służbie bogom, szukaliście rozkoszy na ziemi, daliście się uwieść uczuciom ludzkim, dozwoliliście zagasić w duszy ogień niebieski“.

Przerażeni i drżący młodzi, podali sobie ręce i w chwili, kiedy las rozbrzmiewał echem, jak dziś, majowej pieśni, poszli z piętnem rzuconego wyroku na ich dolę w świat, aby dzielić wspólnie to co ich dotknąć miało; połączeni na życie i śmierć.

Nie wiodło się im. Zaledwie zbudowali sobie skromną siedzibę, pracować zaczęli, pożar spalił domostwo, grad wybił kłos dojrzały, choroby nękały. Nędza zdawała się nieodłączną towarzyszką. Wreszcie doszli tu nad jezioro.

W ubogiej chacie cieszyli się wzrastającymi dziećmi, sądzili, że skryją się przed zawistnie ścigającym ich przeznaczeniem. — Daremnie!

Znany ci nieszczęśliwy koniec ojca i ukochanego braciszka. Matka ociemniała i dziś obłąd mroczy myśl jej, dawniej jasną, — a ja...



Bijata III.

Tu urwała Bijata i powstrzymywane dotąd łzy, wolno splywać zaczęły, po zbłądłych licach.

Z chatki ozwała się w tej chwili, cicha, pełna bólu i tęsknoty pieśń, jaką zwykły śpiewać strażniczki ognia na obchód Kupały w maju, u stóp świętego dębu.

Jurgis milczał, — po usłyszanym opowieści, sprzeczne uczucia toczyły walkę w jego sercu, obawy i wielkiej miłości. Ciemna chmura smutku splywała na pogodną dotąd duszę i młodość jego.

Nad wszelkiem jednak uczuciem przemogła wielka miłość dla ukochanej.

Biedna gołąbko, tętniało mu w sercu—ty moja! wołały nań w okół szeleszczące liście drzew, poruszane wiatrem.

Zerwał się. Po raz pierwszy od poznania, uchwycił Bijatę w objęcia, przytulił do piersi.

— Ja cię ocalę najdroższa, zawołał—ocalę, zasłonię przed pomstą bogów, ty musisz być szczęśliwą, odkupię cię miłością moją!

Bijata chwilę oddała się lubej pieśczoce, zawiśla na szyi ukochanego, a on zcałowywał lzy, które spadały z pod długich rzęs dziewczyny.

Trwało to jednak krótko, Bijata zapanowała nad wzruszeniem, stanowczym ruchem uwolniła się z uścisku, odtrąciła Jurgisa.

— Nie, nie, zawołała rozpacznie z mocą, nie ma człowiek siły, aby walczył z wyrokami bogów, one go zmogą. Tyś ich zbudził. Wymiar sprawiedliwych sądów spełnić się musi. Żegnaj mi! Żyj, bądź szczęśliwy, nie wiąż pogodnych dni swoich, z moimi. Zapomnij o sierocie, — choć ona o tobie nie zapomni nigdy! Żegnaj!

Z za chmur nabrzmiałych deszczem błysnęła twarz księżyc nad polaną. Wyjrzał na chwilę, oświecił obie postacie młodych, pełne boleści spojrzenie Bijaty, pożegnanie łzawych źrenic i wycią-

Jurgis czuł, że życie jego w samym rozkwicie zламаło bezlitośne przeznaczenie...

Ach, onby z radością, oddał wszystkie skarby gromadzone przez ojca dla niego, byle mógł być posiadać tę, którą ukochał nad życie.

Zagłębiając się w smutnych myślach nie zważał, że noc dawno zapadła, że nieobecność syna w domu, może wzbudzić niepokój rodziców, pozostawał w smutnym zamyśleniu.

Czas uciekał szybko — północ minęła.



Bijata II.



Chata nad jeziorem.

gnięte rozpacznie ramiona Jurgisa. Zaledwie jednak tenże opamiętać się zdołał już, dziewczyna dobiegła do chatki, szybkim ruchem drzwi otworzyła, weszła, zaparła je za sobą.

Daremnie zroczaczony Jurgis kołatał do nich, prosił, zaklinał, nie otworzyły się już więcej, owego wieczora...

Zbolały, bezradny, upadł na murawę, a lzy bólu i zwątpienia mieszały się z rosą wieczorną spadając na zielonej mech.

Nagle... poświst wiatru, idący z poza gór, z poza mór, coraz silniejszy, wstrząsał borem. Zdało się, że Harpion wypuścił setki niewidzialnych duchów, które niosły zapowiedź bliskiej burzy, ponad szczytami drzew, zawodziły żałośnie jęcząc. Wichr zatrzęsł konarami dębów — porywał piasek po drogach, niósł go w tumanach. Zdała odezwało się echo pierwszego grzmotu.

Zbudził się z odrętwienia Jurgis, nieznany lęk nim zatargał.

Na milczącą chatkę spojrział jakby ją miał widzieć raz ostatni, szybko iść zaczął ku domowi.

Wielki był czas.

Czarne — brzemienne deszczem chmury, zakryły księżyc i gwiazdy; — zapanowała ciemność tak wielka, że Jurgis, który na pamięć znał drogę, zaledwie ślad jej mógł odnaleźć. Już dobiegł do jeziora. Lecz i wśród wód, działo się coś nadzwyczajnego. Fale rosły, huczały, popychały się wzajemnie, występując ze zwykłych swych granic, wylewały się poza brzegi.

Jurgis uciekał.

Już dotarł do wrót domostwa.

W nich stał siny z gniewu Urbajtis. — Chwytał syna za ramię krzycząc w pasji.

— Gdzie byłeś niegodny, gdzie? Ty wyrodnym synu. Latasz do czarownicy, która cię otumaniała,

odebrała rozum, czarami przeklętych oczu? Myślisz, że pozwolę, aby nędzarka weszła pod dach mój? Niedoczekanie, klę się na Perkunasa, że tego nie dopuszczę chyba po moim trupie...

Nie dokończył.

Pierwszy piorun gzygzakiem światłym przeciął ciemny nieboskłon — wicher wściekły wyrwał z rąk młynarza wrota z ręki, z zawias, odrzucił daleko!

Grom po gromie przewalał się w chmurach, huczał, przerażając zbudzoną naturę. Rozpoczęła się walka niewidzialnych mocy, rozpętanych żywiołów. Ulewa połączona z gradem zdawała się przezywać upusty niebieskie.

Błyskawice rozdzierały oponę czarną chmur, rwały je wstrzępy, zwieszały je nad podnoszącym się jeziorem. Z pagórków, wyniosłości, spływały huczące potoki wody, pochłaniając wszystko, co im na drodze stanąć śmiało, dążyły w głębię wzburzonego zbiornika wód. Echo gromów odbite o puszcze szło dalej i dalej, tonęło w jej głębi. Drzewa jak podcięte siekierą, złamane burzą, padały; szczyty ich wały się po ziemi.

Błysnęło... — Kilka naraz piorunów upadło. — Jeden z nich uderzył w szczyt domostwa Urbajtisowego, dach płonąć zaczął nad zbożowym spichlerzem. Wiatr rozdmuchiwał płomienie, niósł palące się żagwie na stojące w pobliżu budynki.

Woda rozrywała dołem deski, wstrząsała podwalinami, przerażenie potęgowało się.

Czeladź chroni się na dachy, jeszcze niedotknięte ogniem.

Z obory, ryczące bydło z jednej strony prażone żarem, rozszalałe, chce uciec z palącego się budynku; przed sobą ma ciemne pole wzburzonych wód, w których zginąć musi!

Owce zbite w gromady becząc, jedne giną w płomieniach, drugie toną. Znikąd ratunku, każdy myśli aby ująć śmierci, wszędy ma drogę odciętą przez ogień wzmagający się, lub niezwalczoną moc wody. Ów dom, chluba Urbajtisa, spłonął. Czego nie pochłonięły płomienie, to rozrywały spiętrzone fale.

Na rusztowaniu okopconych, nadpalonych krowki stoi Urbajtis — woła pomocy, — podpira słabnącą żonę, przemokłą, drżącą. — W drugiej ręce trzyma przyciskając do piersi trzos pełen złota, który zdołał uratować. Urbajtisowa chwytą się ramienia męża, chce się oprzeć o sterczący słup poboczny, lecz słaba podpora, podmyta wodą, chwieje się, pęka...



Zachód słońca nad kanałem Windawskim.

Nieszczęśliwa ginie w nurtach jeziora, pociągając za sobą męża. Jeszcze nad powierzchnią ukazuje się ręka młynarza, na okamgnienie, ściskająca trzos. — Opadła.

Zginęli...

Jurgis trzymając się belki, widzi ginących rodziców chcieliby ich ratować, daremnie... Wiedziony zmysłem zachowawczym, chwytą oburącz poprzecz-

ną belkę, z nią spada na spienione fale. Zagłębił się w nurtach, ale wnet wypłynął. Blisko niego fala pcha drąg, który udaje się mu wyłowić, za pomocą tego przygodnego wiosła, utrzymuje się na powierzchni.

.....

Noc majowa szybko ustępuje. Różowa jutrenka wygląda z za lasu, oświeca smutny obraz ruiny, zniszczenia...

.....

Jak okiem zasięgniesz, nie widać żywej duszy. Jeden wielki obszar bezbrzeżnych, rozlanych wód.

.....

Jurgis utrzymuje się, wiosłując z wysiłkiem na zbawczej belce. Rozgląda się. Patrzy ku przeciwnemu brzegowi, gdzie dawniej stała chata wdowy, gdzie mieszkała ukochana dziewczyna. Chatki ani śladu!

Spostrzega na powierzchni unoszone przez fale ciało niewiasty. Ręce ma złożone na piersiach, usta rozchylone błogim uśmiechem, może czuje się szczęśliwszą jak za życia?

To dawna czcicielka Znicza, Weronikas niewidoma.

Za nią na podłodze wyrwanej z tonącej chaty, zbliża się, porywana falą postać klęczącej dziewczyny.

Ręce i oczy ma ku górze wzniesione. W ruchu tym widać, że pragnie przebłagać niebo za winy ojców.

Już się zbliża ku belce.

Na widok najukochańszej istoty, Jurgis wyciąga ramiona — woła!.. Głos wobec łoskotu wód, szumu wiatru nie dochodzi do uszu Bijaty, lecz wzrok bystry spostrzegł młodzieńca...

Może zagniewane bóstwa, przyjęły jako zadosyćuczynienie liczne ofiary, uratują tych dwoje od zagałdy...

Zrównali się...

Jurgis silnem ramieniem obejmuje kibić Bijaty, przenosi lekko na belkę, która dotąd jest deską zbawienia. Serca obojga drżą radośnie...

Lecz siły Bijaty, wstrząśnięte tylu wzruszeniami słabną. Jak gałąź bluszczu oplata dąb silny, tak ona zarzuca ręce na szyję ukochanego.

Ruch ten staje się zgubą dla obojga.

Jurgis chcąc utrzymać omdlewającą, upuszcza ratujące wiosło, a rozkołysane wody okręcają belkę pozbawioną kierunku, jak słabą łupinę. Ciemne fale jeziora pochłaniają i te dwie ostatnie ofiary!..

Po owej niepamiętnej burzy następuje rankiem cisza...

Cisza śmierci...

Drzewa wyrwane z korzeniami, wloką gałęzie, niby rozplecione warkoczce.

Nadbrzeżne brzozy złamane, świecą bielą kory, gałązki zapadły w nurty, odarte z zieleni.

Wszędy woda i woda...

Wniknęła w głąb lasu, obija się o pnie zmurzałe, przelewa; nigdzie znaku siedziby ludzkiej.

Gdzie bogate obejście Urbajtisa? gdzie zapasy zboża, trzody liczne, cały dobytek?..

Wszystko zniszczone... przepadło.

Gdzie ów młynarz zamożny, żona strojnisia, syn jednak, dla którego z krzywdą ludzką zbierali oboje bogactwa? — Gdzie ten piękny Jurgis, nadzieja, chluba rodziców, ulubieniec wsi całej? — Gdzie samotna chata wdowy, ona sama, i ta piękniejsza z dziewcząt Bijata?

Wszyscy zginęli!

Grobem ich jezioro, a ponad mogiłą huczą wody, rozlewają się szeroko.

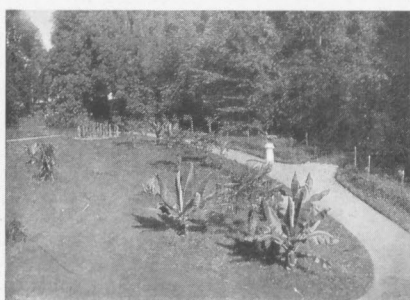
...Okoliczni mieszkańcy na pamiątkę córy kapłana bóstw pogańskich i strażniczki Znicza, nazwali jezioro „Bijatą“, a pamięć nieszczęśliwych kochanków, przechowała się wśród ludu.

Opowiadają, że w czasie majowych nocy jasnych, słychać przy świetle księżyca, równomierne uderzenie wiosel, cichą rozmowę, lub rzewną skargę i zawołanie niewiasty.

M. KACZKOWSKA.



Pojeziory. Część ogrodu.



Pojeziory. Ogród przed pałacem.



Pojeziory. Wjazd. W głębi dom parobczy.

W DUMNYM SZTAMBUCHU.

(DO MELODJI SCHUMANA).

Piszę Ci Polsko w łąk twych albumie
z głębin duszy
płynący rym. —
Wiem, że przyroda go nie zrozumie,
że las go zgłuszy
szumieniem swym.

Wiem, że piękniejsze pól aromaty,
gdzie barwne kwiecie
upaja świat..
Że zwiędłą mego natchnienia kwiaty
i wiatr zamiecie
ich świeży ślad...

Że Tobie milsze natury skarby,
błękitność nieba,
słoneczny dzień,
niż wszystkie moje tony i farby,
że ci nie trzeba
ich bladych lśnień!...

A jednak wpiszę Ci się serdecznie
w dumnym sztambuchu
łanów i kniej,
bo Cię miłuję mocno a wiecznie,
srebrzysty duchu
ojczyzny mej!

JULJAN EJSMOND.



Widok z przełęczy Liljowej.

W GÓRY!

Dnia trzeciego przed pełnią księżyca, w obliczu gór tatrzańskich, rzekła wieczorem żona człowieka: „na śmierć i życie pójdziemy w góry” — córka patetycznie krzyknęła: „w góry“, a człowiek ogłosił swoje „placet“.



Dolina Koprowa od stawów Ciemno-Smreczyńskich.

Jako że każdą ekstazę na benefis absolutu należy uczynić plastyczną, przeto przez całą godzinę myślano tylko w kategoriach rzeczywistości.

Wszystkich trapiła bezsenność tej nocy. Córka słyszała tęsknotę w niedoścignionych rytmach gwiazd, żona paliła i wysadzała w powietrze kaplice i bastiony swojej duszy i drżała ze strachu, że to nie wyda się dość świetnie jako ogień bengalski — a człowiek czuł się wyliną węzową porzuconą na mrowisku i słyszał szczekanie zębów ludzkich przeznaczeń w brudnych okowach obowiązków.

Nazajutrz, od wczesnego ranka wyładowywano od dawna nagromadzoną energję. Zebrano instrumenta przydatne do asekuracji przed niebezpieczeństwem, przyrządy do ułatwiania noclegów i ważenia strawy, wreszcie menu ułożone według ilości kalorii i białka zawartych w potrawach.

Ruszono w drogę.

Przewodniczył im na wieżycy minaretów wolnego oddechu Włóczęga, paradoksalny, niemy, bez barwy



Jaworowe sady.

i smaku. Chustą lędźwie miał przepasane, skórę przez ramię przerzuconą i posoch w dłoni. Sentyment wszelaki witryolem ironji zalał, absurd skojarzył z głęboką prawdą i zaraz na początku rzekł: „Włóczęgostwo jest pożytecznem, powraca giętkość, moc jestestwa, jest znakiem, świętem i pieczęcią wolności“.

Poszli poprzez kuźnice — poprzez wrota zielone do Kamiennej Ziemi — w drogi leśne na wyżyny się pnące. Żona człowieka szła, córka oglądała przyrodę z punktu „koloru“, człowiek myślał o „Bożym eposie“. Z mozołem dźwigali wszyscy swoje jestestwa w górę bez interpelacji, a włóczęga uważał tylko, że duch skory, a mdłe ciało.

Droga przez wzgórza i spadki nad dolinami z tej i owej strony.

Pierwszy postój w dolinie zwartej murami kamiennych szczytów — do dna krateru olbrzymiego podobnej. Zachwyceni harmonją fizyczną świetną skorupą, frazeologją, obsiedli szczątki z gigantycznych budowli opadłe, napili się mleka, a oczy odwracali od perci nad zboczami szczytów wiszących, jak od via dolorosa.

Włóczęga szeptał: a jednak musicie powracać do niej, aby móżdż udźwignąć swoje piekło i swój grzech, który jest naszym bóstwem.

Cierpliwe sandały niosły ich dalej przez przesmyk liljowy na okolne złomy szczytów, przez żleby urwiste, gdzie z wiecznego cienia poczęte źródła sączą bez przerwy krople łez nieutulonej tęsknoty. Brzegami subtelne dzierzgania kibaltu gencjan i jaskrów. Dalej w białych kaskadach bezpowrotne

wody. Aż wreszcie ponad szczytami drzew ciemnych, przez rozwarte zawory, gdzie w dole kres w gąszczach Alhambry.

Spoczęły sandały w gontynie o pustym frontonie wśród starych smreków. Architrav gontyny z opalonej kłody drzewa w bok pochylonej, bez fryzu, z tympanonem od wewnątrz, jako panoramą pogiętych w bolesne wykroły świerków.

Puszcza zawarta bokami murem Cyklopów z Mykeny, stara, zgrzybiała, od czasów, kiedy założono grunty ziemi i uczyniono pierwsze jej rozmierzenia. Dolina Koprowa z poszumem setyn wiekowych smreków przybyszom gościnę daje, słońcem i przepychem

kwiatów ich darzy po pustych od drzew klonach leśnych, przeraża, do pokory i podziwu kloni i mówi o wszystkim, co już przeszło. Dolina tajemnej troski, żalu tłumionego, nieokreślonego cierpienia, niepokoju, obawy i dolina cichej radości. Kraina dla smakoszków — zamknięta na siedem pieczęci i niedostępna dla tych, którzy nie wzruszeń w niej szukają, nie cerebralnych rozkoszy, ale od-dania codziennych widowisk natury.

Człowiek zauważył łzy u włóczęgi i objaśnił żonę, iż to „nadmiar duszy“.

Włóczęga szeptał: „fiat cor suum immaculatum“. Przyszli panowie i panie dla postojów nocnego i mówiono o wszystkim, o chemji Ostwalda, o cenach jarzyn, o kardynale Hewmanie, dolegliwościach żołądka, elementach Hlacha, matematyce Poincaré'go, o procesach górotwórczych, o aparatach do gotowania strawy — poczem rozpalono ognie



Staw Ciemno-Smreczyński.



Krywań od stawów Teryańskich.



Łomnica.

wieczorne i po ostatnich grzeczno-nieufnych i nieprawdziwych słowach wszyscy posnęli.

Poczęła się noc niezwykajna i osobliwa.

Przypadły zmory pijanych Sabalów, Klimków Bachledów, węzów królewskich, barona de Mangro. Ożył świat nieprzyjazny i psotny, tańczące tanecznicokczkodony, rozpanoszone figury płci niezdecydowanej, przewrotne marjonetki-świat łąteczny, bzdurny, maskaradowy. Pandemonium dwuznacznych postaci, bożków - panów o lędźwiach włosami krytych; pierrotów, satyrów, dziwnych dam puchliną serca dotkniętych, nadzwyczajnych dziewic i wątpliwych młodzieńców o niepokojącym wdzięku. Ożyły janowce, paprocie, wrzosi, limby cisy, małe chościaki, brzozy, podbiały, złotogłowie, koprzyny i wilczyńce.

W urwistym jarze potok huczał, a szepty jego puszcza stokrotnie echem wzmacniała i tylko dla ucha złudne wyrazy na jaw prowadziła. „Nieuleczona z przekory pokutuje-

Samarya na strony rozdarta—i zburzone zostały jej warownie, odjęta jej została podpora chleba i wody, podpora bohatera i wojownika, sędziego i prze-myślnego rzemieślnika, Samarya śni o potędzie.

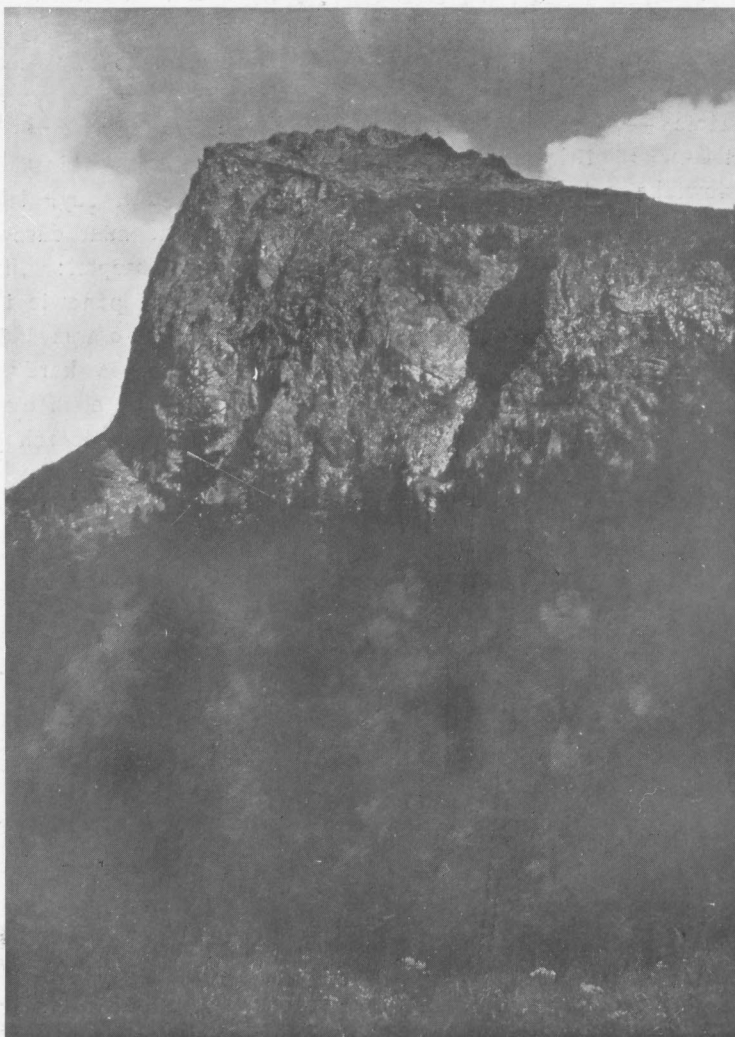
Błazen z Karaghuez półrozumny i przesadny zagłuszył śmiechem uroczysty głos wielkich uniesień.

Świt daleki poza szczytami i spokój odwieczny. Włóczęga z kosturem w dłoni zawiódł ludzi na szczyty, gdzie pokłady granitów w spiętrzonych skałach wiszą milczące i nieruchome, gdzie orły i chmury wzajem swobodnie się mijają, gdzie płaczą się złote nici planet i słońca, gdzie wichry stargane śpią ciężko w wiecznej pomroce.

Zostali bez słów i myśli.

Wokół wzwyż ściągły wieżyce zamarych kościołów, puste, nieme pałace sfinksów przeszłości, w tysiąc załomów podarte turnie, ogromne i martwe...

TEL.



Północna grań Krywan z doliny Koprzyńca.



W WITRAŻU...

W witrażu wizja cudna śni,
W splot — płomień irysowy,
Jak w tęczach wstąg promiennych lśni,
W obramowaniu głowy...

Gdy słońce, lub księżyc blask
Skróś szyby drżące pada
Rycerza srebrny pancerz, kask,
Promieni poświatl blada...

W witrażu wizji złotej sen,
Zamartej wiosny dale
I wypłowiłych włosów len,
Inkrusty i opale.

Najświętsza Panna, — maków kwiat,
Jedwabny szum ośnieża,
I chryzantemu złoty płąt
Ze złotych wysp wybrzeża...

Na witraż pada letarg śnień,
Mistyczny ptak w szafirze
Wśród jasnej fali smutnych drzeń
Obłoki toną w kirze...

I ołowiany cystern szum,
Anielskich skrzydeł błyski
I bardzo dawnych wspomnień tłum
Daleki, a tak blizki!..

W witrażu wizja cudna śni
Irysów płoną pnące...
W gotyckim tumie skarga drzy...
Sen zrywa się i płące...

EPAZM SZYMBORSKI.

KOŁYSANKA

DLA PRAWNUCZKI.

A rośnij mi Dziecię — promyczku i kwiecie —
na dołę — niedołę,
na Siłę i Wolę,

na walkę i męstwo,
na Ducha zwycięstwo...

Na *Polskie* nam rośnij *Pacholę*.

A rośnij-że, Dziecię! Kąkole i śniecie
wypleniać potrzeba...

Aż prosi się gleba:
niech ręka skwapliwa
chwast podły wrywa...

Toć rośnij: *Strażniczką* bądź chleba!

A rośnij-że, Dziecię! Gdzie ziarnem wiatr miecie,
pośpieszaj tam szparko,
i ciszy stań arką,

i Bożej proś rosy,
by wzeszły tam kłosy...

A rośnij-że, Dziecię — *Żniwiarką*!

A rośnij-że, Dziecię! Moc służby na świecie;
ty do niej gotową
stań sercem i głową —

bierz służbę pokorną:
nie w szczytach, lecz orną...

Urośniesz nam, Dziecię — *Królową*!

A rośnij-że, Dziecię! Z łez żywot się plecie —
z pod naszej dziś strzechy

nie świecą uśmiechy,
a w znoju i męce
ustają nam ręce..

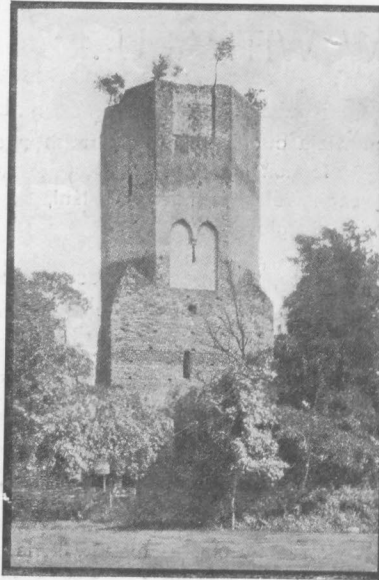
Więc rośnij — *Aniołem pociechy*!

A rośnij mi, Dziecię, a rośnij-że, kwiecie,
na dołę — niedołę,

na Siłę i Wolę,
na walkę i męstwo,
na Ducha zwycięstwo...

Na *Polskie* wyrastaj *Pacholę*!

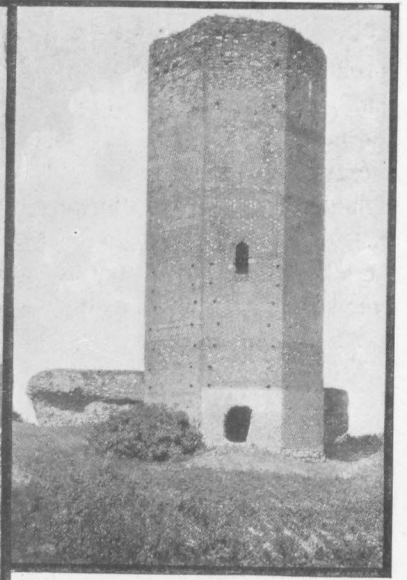
T. PRAŻMOWSKA.



Zamek Ostrzeszowski.



Resztki zamku Bydgoskiego.



Zamek Bolesławiecki.

RUINY ZAMKÓW WIELKOPOLSKICH.

I.

ZAMEK OSTRZESZOWSKI.

Zamek ostrzeszowski, niegdyś strażnicę polską pograniczną od strony śląskiej, wystawił Kazimierz Wielki; dokumenty wielkopolskie wymieniają starostów i burgrabiów ostrzeszowskich już w r. 1337. Zniszczyły go wojny szwedzkie.

Z dawnego, warownego zamku utrzymała się tylko 9 metrów szeroka i 24 metry wysoka wieża strażnicza. Odrestaurowana w r. 1901, należy ona obecnie do gminy ewangelickiej.

II.

ZAMEK BOLESŁAWIECKI.

I po zamku bolesławieckim (Bolesławiec, na lewym brzegu Proсны o dwie mile od Kempna), zachowała się tylko ośmiokątna wieża strażnicza (10 metrów szeroka, 24 metry wysoka). Gród ten znano już w r. 1277, obecne jednak jego ruiny pochodzą z czasów późniejszych, z epoki późnego gotyku, jak świadczy ich struktura. Odrestaurowana około r. 1900, ruina bolesławiecka jest własnością rządu pruskiego.

III.

ZAMEK BYDGOSKI.

Po ważnej niegdyś strażnicy polskiej od strony Pomorza, po kasztelańskim zamku bydgoskim zostały bardzo ubogie strzępy.

Ten gród obronny pamięta dalekie czasy, prawdopodobnie czasy pierwszych Piastów, a może nawet dalsze. Był on pierwotnie warownią drewnianą, skleconą z potężnych bierwion i pniów, otoczoną grubym wałem z gliny. Przechodził on z rąk polskich do pomorskich, z pomorskich do polskich, jak chciały losy ciągłej wojny na pograniczu wiecz- nie niespokojnych Pomorzan. Wydarł go ostatecznie z walecznych rąk Pomorzan Bolesław Krzywousty (1113 r.) i zmienił w strażnicę pograniczną, połączoną z komorą celną. Pierwszym cytowanym w dokumentach kasztelanem bydgoskim był *comes* (hrabia) Bogusław (1253).

Wielki architekt Polski, Kazimierz Wielki, nie zapomniał także o Bydgoszczy. Na miejsce drewnianej strażnicy stanął potężny, warowny zamek (*castrum munitissimum* nazywa go Długosz), w którym królowie polscy niejednokrotnie z całym swoim dworem przebywali. Tu przepędzał przez lat 13 (od r. 1453—1460) Kazimierz Jagiellończyk miesięczne letnie, aby być w pobliżu ziem krzyżackich, burzących się jeszcze po Grunwaldzie. Tu prosił daremnie, elektor brandenburski Fryderyk II (1455 r.), króla o zgodę z Krzyżakami.

Od roku 1457—1600 byli starostami i kasztelanami bydgoskimi Kościeleccy.

Nawała szwedzka niepominała zamku bydgoskiego. Burzyła go ona dwa razy (w r. 1655 i 1657) wysadzając jego mury w powietrze za pomocą min.

Odtąd gaśnie powoli wielka tradycja potężnego grodu. Wspaniałe jeszcze ruiny warowne kruszyły się, rozsypywały, rozdrapywane przez każdego, kto chciał i nie chciał. Z nich to zbudowali Prusacy koszary huzarskie i sklecili w Bydgoszczy ulicę Długą, późniejszą Fryderykowską. Ostatni ich właściciel sprzedał w r. 1895 chłopom resztki jako materjał budulcowy. Został się dotąd tylko złom muru, wielkiej przeszłości smutny świadek.

IV.

ZAMEK PIASTÓW W POZNANIU.

W samym środku miasta Poznania, na zachodnim, wyniosłym brzegu rzeki Warty wznosi się poważny, sędziwy gmach, który widział pierwszych władców Polski. Jest to zamek piastowski, rezydencja książąt i królów polskich aż do chwili, kiedy przeniesiono stolicę do Krakowa.

Nie on to jednak był kołyską i domem pierwszych zwyciężkich Piastów. Zamek pierwszy stał na wschodnim brzegu Warty. Dopiero około roku 1230, kiedy się miasto Poznań rozszerzyło na brzeg zachodni, przenieśli nasi władcy gród swój tam, gdzie były zamek dotąd stoi. Dwa metry grube mury dolnych części gmachu i sklepione podziemia, jedyne resztki jakie zostały z dawnych czasów, świadczą że ten zamek pochodzi z epoki romańskiej.

Pierwszy raz uległ zamek piastowski zniszczeniu pod koniec XIV stulecia, w zawierusze domowej, w gorszącej walce Grzymalitów i Nałęczów.

Odbudowano go około r. 1500, ale już w r. 1538 zburzył go znów, strawił pożar, któremu uległa w tym czasie znaczna część Poznania. Odbudowany po raz wtóry w powiększonych rozmiarach około 1600 r., składał się z czterech obok siebie ustawionych gmachów z dachami gotyckimi. Oprócz tego zbudowano wieżę, — więzienie dla przestępców stanu szlacheckiego. Obwiedziony warownym murem i odcięty od miasta mostem zwodzonym, był zamek poznański rodzajem bastylji.

Gospodarowali w nim dwa razy Szwedzi, w wieku XVII i XVIII, gospodarowali Brandenburczycy i Sasi, a ci wszyscy najezdźcy zachowywali się tak grzecznie, że kiedy się nareszcie różne nieproszone wizyty skończyły, zaczął się stary gród sypać w gruzy. Z tych gruzów podniósł go dopiero, znów oczyścił, odbudował pod koniec XVIII stulecia ówczesny jeneralny starosta Wielkopolski, Kazimierz Raczyński.

Widział sędziwy zamek poznański świetne czasy, — wielkich ludzi, genialnych wojowników i mężów stanu (szwedzki Karol XII był także jego nieproszonym gościem), ale widział także wielkie tragedje. W jego to podziemiach kazał król Przemysław zadusić swoją żonę, nieszczęśliwą Ludgardę.

Kiedy w początkach XIV stulecia przeniesiono stolicę Polski do Krakowa, stał się zamek poznański rezydencją namiestnika królewskiego, jeneralnego starosty Wielkopolski. Obecnie mieści się



Zamek Piastów w Poznaniu.

w jego salach i komnatach archiwum W. Ks. Poznańskiego. Stare akta grodzkie ziem wielkopolskich tulą się do starych murów zamczyska wielkopolskiego. Dwaj świadkowie wielkiej przeszłości podali sobie ręce na mogile naszej niezależności politycznej.

V.

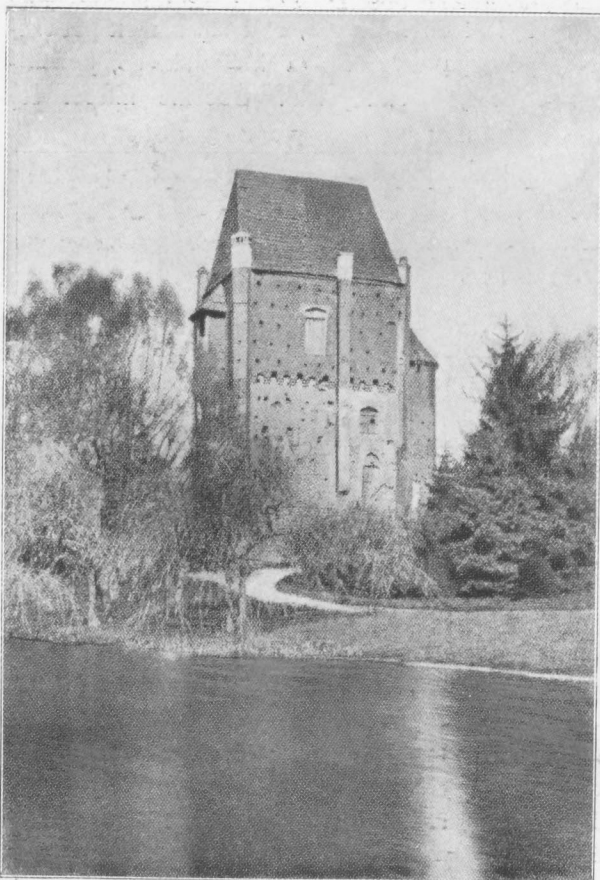
ZAMEK KRUSZWICKI.

Legendami z czasów zamierzchłych, z czasów Popielów owiana, stoi dotąd na półwyspie jeziora Kruszwickiego, wieża, w której myszy miały pożreć ostatniego Popiela. Trzydzieści jeden metrów wysoka, 11,50 m. szeroka panuje ona nad jeziorem Kruszwickiem widoczna zdaleka.

Była to niegdyś rezydencja pierwszych władców polskich i stała na wyspie wśród jeziora, która się z czasem zmieniła w półwysep.

Jak pierwotny zamek wyglądał niewiadomo, nie przechowały się bowiem po nim żadne ślady. Zamek późniejszy, murowany, pochodzi z XIV stulecia. Ten zamek późniejszy był otoczony czworokątnym murem i miał ośmioboczną wieżę. Broniony wodami jeziora, był mocną prawie niedostępną twierdzą.

Protokół z lustracji z r. 1616 zachował jego



„Wieża czarnej księżniczki“.



Zamek Kruszwicki.

rysunek. Z tego protokołu dowiadujemy się, że w murach zamkowych znajdował się mieszkalny dom murowany, składający się z dwóch pięter. Na parterze była obszerna sala jadalna i spiżarnia, na pierwszym piętrze cztery komnaty, alkowy i różne komórki; na drugim piętrze duża sala i jedna komnata. Służba mieszkała w siedmiu izbach, mieszczących się w suterynach.

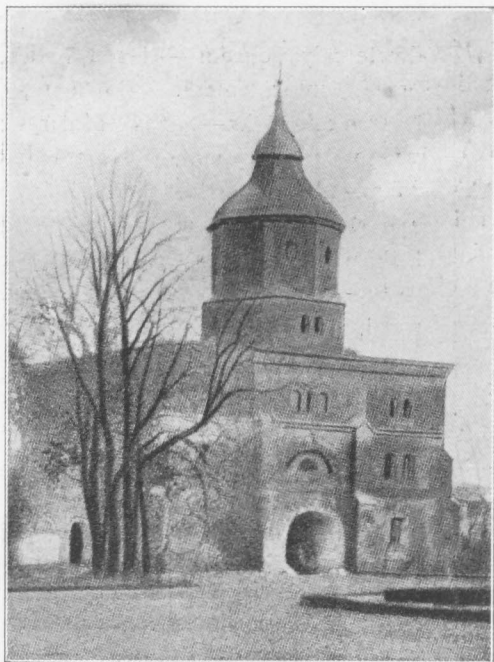
I o zamku Kruszwickim nie zapomnieli Szwedzi. Zburzyli go oni w r. 1657. Od tej daty kończą się jego świetne czasy. W stuleciu XVIII rozdrapali chłopi i mieszczenie jego ruiny, stawiał z nich rząd pruski swoje gmachy rządowe w Inowrocławiu. Tylko mysiej wieży nie pozwolił nowy rząd tykać. Zajął się nią głównie Fryderyk Wilhelm IV, który szanował pamiątki historyczne. Dziś stoi mysia wieża odrestaurowana, odświeżona, otoczona ogrodem. Porządku pilnuje przez rząd ustanowiony dozorca.

VI.

WIEŻA „CZARNEJ KSIĘŻNICZKI“.

Potężnym, wspaniałym musiał być niegdyś warowny gród szamotulski. Świadectwem tego, jego resztki. Na jego miejscu wystawił Łukasz Górka w r. 1518 nowy zamek, istniejący dotąd, ale w r. 1869 tak odnowiony, zmodernizowany, że stracił urok sędziwości.

Z pierwotnego grodu warownego zachowała się tylko wieża, którą lud nazywa „wieżą czarnej księżniczki“. Ta wieża o trzech piętrach była niewątpliwie główną wieżą obronną, w której chroniła się załoga po zdobyciu zamku. Dowodzą tego



Dzisiejszy widok resztek obronnego zamku Choińskiego.

liczne strzelnice i boki murów, zbudowane pochyło, aby się po nich ciężkie pociski mogły łatwiej staczać.

W tej wieży więził, prawdopodobnie, Łukasz Górka niešťczęśliwą Halszkę z Ostroga, której ogromny posag podniecił apetyty tylu wielmożów XVI wieku i przyczynił jej tyle trosk i bólu. Ją tą nazwał lud „czarną księżniczką“.

VII.

ZAMEK CHOIŃSKI (CZESTRAM).

Stał w Chojnie, na pograniczu śląskiem w opolu Skarbków - Habdanków (opole Skarbków Sokoła Góry), jako strażnicza warownia polska przeciw Ślązakom. Nazywano go także Czestram („czestram“ zepsute *castrum*).

Kiedy powstał i kto go zbudował w formie pierwotnej nie wiadomo. Tyle tylko pewna, że należy do najstarszych strażnic wielkopolskich, bo wymienia go już bulla papieżka do stolicy gnieźnieńskiej w r. 1136.

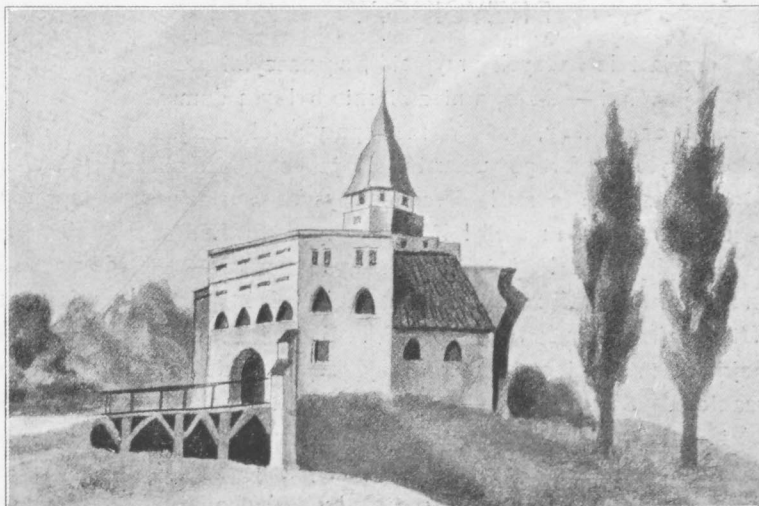
Który ród wielkopolski pełnił tu pierwszy straż, także niewiadomo. Prawdopodobnie jednak Habdankowie-Skarbkowie, gdyż tu było ich opole, tu zamieszkiwali gromadą, przeważszy się później od różnych majątków okolicznych: Konarskimi, Choińskimi, Przedliszkowskimi, Kołaczkowskimi, Przyborowskimi i t. d.

Najstarszymi, znanymi z dokumentów właścicielami: Chojna, Golejewka, Gole-

jewa, Olbin, Łątki, Sworowa, Kubeczek, Zawady, Małego dworu, Podborowa, Widaw, Ostrobudek, Słupi, Zielonej wsi, Stwolna, Sikorzyna, Ugody i t. d. są Choińscy, w wieku XVI i XVII dom możny, senatorski, pisany w owym czasie także Chojńskimi (Choyńskimi de castro Choyno). Oni to pełnili przez kilka wieków straż pograniczną na zamku choińskim (czestramskim) fundowali i odnawiali kościół, w którym chowano.

Mieszkanie w zamku pogranicznym nie było zawsze bezpieczne, sąsiedzi bowiem Śląscy lubili zwadę orężną. Z aktów grodzkich, poznańskich, dowiadujemy się, iż Andrzej Choiński, syn kasztelana Piotra, zaniósł w r. 1620 przed generała wielkopolskiego, Sędziwoja Czarnkowskiego, skargę na Ślązkiego rycerza, Ulryha Goetza (obecnie hr. Schafigotschowie), jako że napadł podczas jego nieobecności (był właśnie na wyprawie przeciw Turkom) zamek choiński w 500 ludzi podstępnie, nie po rycersku, bez poprzedniego wypowiedzenia mu wojny, wbrew wszelkim prawom polskim i cesarskim, i że zabił mu trzech dworzán, matkę jego, Zofię z Kościeleckich, wojewodziankę sieradzką, pobił i poranił, cały skarb, złoto i klejnoty, oprócz tego a rmaty, rusznice, wszelki zapas wojenny i konie mu zrabował.

Z pierwotnego zamku choińskiego przechowała się dotąd brama z wieżą strażniczą i szańcami. Ruina ta należy obecnie wraz z częścią dziedzictwa Choińskich do hr. Czarneckich. Obecny proboszcz golejowski, ks. Zdzisław Zakrzewski, utalentowany literat, poeta i zasłużony wielce działacz społeczny, poświęcił przeszłości Chojna i Golejewka, kilka dzieł wierszem i prozą („Z przeszłości zakątka“, poemat w 3 częściach, — „Czestram, obraz dramatyczny“, — „Wiadomość historyczna i t. d.), osnutych na tle historii i legendowych stron.



Zamek Choiński w r. 1659.



STEFAN KIEDRZYŃSKI.

OPOWIADANIE PRZY CZARNEJ KAWIE.

P. ALEKSANDROWI RÓŻAŃSKIEMU.

I.

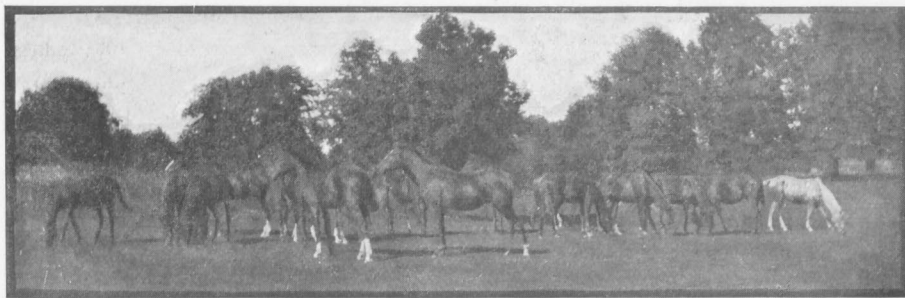
PRZYSIĘGA.

Przyjaciele naszych przyjaciół, są naszymi przyjaciółmi — dlatego niezmiernie byłbym dumny i szczęśliwy, gdyby mój przyjaciel Lucjan zdobył tyle szczerego uczucia, ile ja uczuwam dla niego w swoim sercu! Przedewszystkiem Lucjan jest przemyły! Żle mówię! Przedewszystkiem Lucjan jest mądry! Nie! Jeżeli mam być szczerzy — to muszę powiedzieć, że Lucjan jest doskonały! Och!.. Widzę zjadliwe uśmiechy wokoło! Słodkie i pociągające usta kobiece — uśmiechają się z niedowierzaniem. Szept słów — jakgdyby lęklivy szmer liści — lub stanowcze słowa padają z tych ust różowych — i mówią: Wszakże Lucjan jest tylko mężczyzną. Jakże więc może być doskonały? I usta zapominają... jak często mówiły te słodkie

wyraży — pod rozkazami serca... i nie dowierzały oczom — które ostrzegały przed entuzjazmem. Bo usta, oczy i serce człowieka — to zazdrośni rywale — wrogowie wzajemni, walczący między sobą o drogę życia, przez którą idzie człowiek nieprzeczuwający nieszczęść — i nieświadomy losu!... Z dusznej martwoty — samotnego błędzenia, jak z ciemnej, piwnicznej izby rzuca spojrzenie pełne tęsknoty w przestrzeń. Wzrok pada na cudną postać, na słodkie usta — milczące, zastygłe w słodczy dumnej piękności, na oczy, w których przegląda się lazur nieba. I wtedy usta szepcą w zachwyceniu: Jakże ona piękna! I serce — och! to biedne serce człowieka, omdlewające w pragnieniu kochania — zadrży — załopce jak skrzydło ulatują cego w przerażeniu ptaka... i rozkazuje ustom wypowiedzieć pierwsze słowo fatalne: „Jest tak zachwycająca, że pochłania moje myśli — kocham! Pragnę zostać jej niewolnikiem! — I powtarza te dziwne przyznanie niemocy — chociaż już oczy widzą co innego!

— O biedne serce człowiecze — mówię wyraźnie. Patrzyć lecz nie widzisz! Twoja ukochana odchodzi pod rękę z żydowskim bankierem, który jej napewno dobrze zapłaci za słodkie uśmiechy! Spojrzenia moje są czyste!.. — i wierz im!.. Nic tu po twojej miłości, i głupie, śmieszne, ach jak bardzo śmieszne są twoje usta, które całują kremową różę — zgubioną umyślnie, odjętą od piersi i rzuconą podstępnie — aby je całowały i pocałunkami mówiły sercu: kochaj — umieraj z tęsknoty za jej pięknoscią — jest czarująca ta zwodnica... I serce kocha!.. A potem... nie zawsze, nie często może — ale i tak bywa... Potem gdy zranione zawodem serce umiera w samotności — usta milczą! Oczy zamykają się same. Nie chcą patrzeć na śmierć serca... która przynosi wieki ciemność. Usta żałują róż... oczy widoku jej piękności!

Tak bywa, gdy ona odchodzi pod rękę z żydowskim bankierem, który ma wiele pieniędzy — aby zapłacić za słodkie uśmiechy. Ale tak nie jest, kiedy i jej serce drży i łopce jak skrzydła ptaka odlatującego w przerażeniu. Wówczas oczy i usta kochanka — idą na usługi serc ludzkich. Walczą o pierwszeństwo w szczęściu! Ja ją dostrzegłam pierwsza, mówi żrenica — szła wzdłuż alei i wyglądała w słońcu jak kwiat. A usta szepcą upojone pocałunkami: Bądź błogosławione serce człowieka,



Stadnina w Maćkowie, (gub. Suwalska).
(ze zbiorów p. K. Świdy).

które potrafisz, umiesz i pragniesz kochać!.. I dziwnie wonne padają promienie z tych słodkich tęsknot ukochania! Świat już dawno zczerniał dookoła, pożółkły liście, zwarzone — wyschłe kwiaty konają po ogrodach — deszcz kołacze o szyby... a z głębin duszy ludzkiej — na skrzydłach słów miłości — płyną wonie kwitnących jaśminów!

— Kocham Cię!

O czarujące słowo, wyciskające łzy wspomnień. Nieśmiertelne piękno życia tętniące radością. Czarujesz wonią młodości — wskrzeszasz umarłych — otwierasz spleśniałe groby na cmentarzach... grasz stare piosenki o zmierzchu — i żyjesz wiecznością...

Często mi Lucjan mówił o tym dziwnym dreszczu, który przychodzi razem ze wspomnieniami. Zamykam wtedy oczy — mówił i widzę sercem, jeszcze żyjącem, pełnem błogosławionej młodości sercem — wielkie ogrody dawnej szczęśliwości!.. Wczoraj naprzykład — siedziałem sam o zmierzchu i myślałem o życiu, które tak prędko przechodzi. Zauważyłem na skroniach moich siwiznę — i dzień cały przemyślałem. Młodość odlatuje tak nagle!

Wskazał mi ręką fotel. — Usiadłem. Po chwili — jak zawsze zresztą w podobnym wypadku, zjawił się stary lokaj Urban, ulubieniec Lucjana i prawie przyjaciel. Cicho, składnie nie wypowiedziawszy jednego słowa — przyniósł kawę, rozstawił filiżanki, przysunął pudełko z cygarami — i odszedł. Patrzałem na Lucjana — był smutny i zamyślony. Nie wątpiłem zatem, że historia którą mi napewno dzisiaj opowie — będzie tym samym przysłonięta woalem tęsknoty — jak oczy mojego przyjaciela.

— Czy przypominasz sobie — spytał nagle — ów dzień, kiedy wróciłem po roku mojej nieobecności?...

— Deszcz padał również, jak w tej chwili — odpowiedziałem. Był ten sam miesiąc...

— Dlatego dzisiaj każda kropla tego

deszczu, uderzająca o szyby, odzywa się w moim sercu echem boleści. Jak głos w katakumbach — wołający ratunku!.. Przysunął mi cygara — i sam zapalił doskonałego Bock'a. Po chwili patrząc na niebieskawy dymek unoszący się w zygzakach między naszymi głowami, rzekł prawie obojętnie:

— A jednak zupełnie szczerze mogę powiedzieć, że ta właśnie kobieta, była najbliższa moim ideałom! Nie znaczy to, aby rozumiała moje ideały! Nie lubię zresztą tak kategorycznego określenia, na wyrażenie marzeń, które się tak często zmieniają — i giną, aby powstać do nowego życia w nowej formacji. Ale była najbliższa kształtom i wartościom duszy — które ukochałem w tęsknotach swoich. I ja mój drogi przyjacielu błędząc i szukając w życiu — radości, a znajdując tak często tylko banalne rozczarowania, nie błędziłem sam, szło za mną widmo wymarzonej piękności — szła cudna postać kobiety, którą stworzyłem w swojej wyobraźni, która była tak piękna, jak piękną być tylko może złuda — bajka — świadome kłamstwo człowieka pragnącego kochać. Przyznam ci się, że nigdy nie przypuszczałem aby istniała rzeczywistość — odpowiadająca — moim marzeniom. W chwilach samotnego dumania — o życiu i o mojej samotności, złorzeczyłem moim głupim, nieopatrzny myślom, które złożyły tak dziwną koncepcję! Bo i po cóż?! Błądzimy po świecie zimnych interesów, martwych



Fragment ze stawu w Posuchówce.
(fot. Juliusz Korab-Brzozowski.).



Typy ludowe z Suszek,
(gub. Grodzieńska).

- 1) Fornał z Suszek.
- 2) Chłop z dzieckiem.
- 3) Dziewczyna z Suszek.

(fotografie amatorskie
p. Włodz. Grabowskiego).

rachunków, gdzie wszystko cokolwiek nie zgodne z arytmetyką, zgóry skazane na zagładę — musi umrzeć! I umiera! Piękny gest zabłąkanego rycerza — śmiesz i bawi najedzonych piwowarów!.. Cudowna miłość średniowiecznego minstrela, miłość jak kwiat czysta i wonna istnieje już tylko w starych książkach i bajkach. Wielkie bohaterstwa można oglądać w teatrach — o ile się za miejsce zapłaci — lub woźnego oszuka... A jednak wierz mi! Ja nie należę do tego gatunku ludzi dzisiejszych, którzy sami przed sobą kłamią i sami siebie oszukują — ja stworzyłem dla siebie w tajemnicy przed światem, stworzyłem w wyobraźni spragnionej — i ożywiłem krwią serca, mył kobiety. Kobiety cudu, kobiety świętej, przed którą klękałem w zachwyceniu, do której modliła się moja dusza. Nie wierzyłem abym ją spotkać mógł kiedykolwiek — a nawet powiem ci szczerze, bałem się abym ją nie spotkał — bo wówczas musiałbym uważać ją za należącą do mnie! A przecież mogło być inaczej.

Spotkałem ją w ogrodzie. Był cudny letni wieczór, pełen zapachu kwiatów. Wyszedszy na ulicę od razu skierowałem się w stronę publicznego parku i nie zwracając na nikogo uwagi, usiadłem na pierwszej lepszej ławce.

Byłem w tym czasie może bardziej niż zawsze rozdrażniony i zniechęcony do życia. Są chwile, w których człowiek najbardziej nawet zahartowany w przeciwnościach losu powiada: „Doprawdy nie wiem co

robić z życiem“. — Ja to powtarzałem często — bluźniłem, dzisiaj przyznaję z ręką na sercu, bluźniłem, gdyż nie wiedziałem, że tuż, tuż koło mnie, na tej nędznej, starej ogrodowej ławce, siedzi ona. Ty wiesz o kim mówię! Ta dziwna, w snach najskrytszych upragniona, zrodzona z tęsknoty — i miłości pragnienia — kobieta cud!.. Nie wiedziałem nic i nie przeczuwałem nawet! Dopiero kiedy usłyszałem jej głos odwróciłem głowę i zobaczyłem śliczny, jak na witrażu kościelnym, profil kobiecy. Pod pierwszym lepszym pozorem zmieniłem pozycję i mogłem zorjentować się w sytuacji. Wówczas starając się nie być natrętnym — przyglądałem się mojej sąsiadce — i musiałem przyznać, że jest zachwycająca. Była jasną blondynką — o złotawym odcieniu włosów. Mogła mieć lat 19 — ale w dziewczęcych, słodkich oczach — widziałem błyski stanowczości. Pamiętam, że kiedy podrażniona moimi częstymi spojrznięciami, odwróciła do mnie głowę — aby mnie zmierzyć odstręczającym spojrzeniem — zadrżałem. Tak mój kochany. Te oczy były uroczone — zobaczyłem w ich głębinie, jakgdyby przesłódką wizję wymarzonej kochanki — i wtedy przysięgam ci — coś jakgdyby echo młodzięcych, dziecinnych namiętności spłynęły do mnie z za świata. W tej jednej sekundzie — w mgnieniu jej oczu — przeczułem konieczność miłości i odsuwałem od siebie z przerażeniem myśl, że mogę jej więcej nie widzieć!

Na szczęście, a może niestety tak nie było. Tego jeszcze wieczoru poszedłem za niemi zdaleka i chyłkiem, jak złodziej, wstydząc się swej banalnej, do gruntu głupiej pozycji. Nigdy w życiu nie przypuszczałem, że będę szedł za kobietą jak pospolity lowelas, lub student roznamiętniony łyd-

kami szwaczki — i wypytywał przekupionego ordynarnie stróża o szczegóły dotyczące jej życia. A jednak tak było. W kilka godzin potem wiedziałem wszystko — a nazajutrz, znalazłem między znajomymi — znajomego — który ją i jej matkę znał osobiście!

Rozumiesz zatem, że był to pierwszy, ale najważniejszy krok do poznania. W kilka dni potem zostałem przedstawiony i od tej chwili nie byłem już sobą...

— Piękna historia — wtrąciłem, korzystając z przerwy w której zapalał zagasłe cygaro. Ale czy nie uważasz — że historia ta w rzeczywistości jest dosyć banalna! Nie wątpię, że ją kochałeś, ale nie zapominaj, że miłość zawsze jest interesująca, ale tylko dla zakochanych!

— Nie mam też zamiaru opowiadać ci szczegółów tej miłości, która jak każda nie przedstawia nic tajemniczego. Wiesz tak samo jak i ja wiem, ile rozkoszy, ile uczuć przedziwnych rodzi się w sercu człowieka, kiedy jego usta, łączą się z ustami kochanki! — Nie o tem chcę ci powiedzieć, pragnę byś wiedział — i odczuł w moich słowach, jak wielkim jest mój żal — że nie umiałem tego rajskiego ptaka zatrzymać w swych rękach — że pozwoliłem mu odlecieć, że sam, otworzyłem drzwi i wypchnąłem na dwór deszczem ochlapany — moje własne szczęście — aby poszło w świat — i zapomniało o mnie!

Bo oto przyszła chwila, kiedy co wieczór o zmierzchu

siadywaliśmy razem — snując przesłodkie plany na przyszłość. Marta kochała mnie bardzo! Wierzyłem w jej miłość, tak jak się wierzy, kiedy cień obawy nie przesuwają się zbliska. W jej słowach dźwięczała rzewność — w jej oczach widziałem radość — w jej pocałunkach odczułem miłość. Co do mnie byłem oczarowany. Dziewczyna, którą poznałem i którą kochałem, może po raz ostatni w moim życiu, daleka była od popolitości. — My, ludzie dzisiejszego świata, możemy ocenić dobrze, co znaczy niepopolitość! Świat upadający pod brzemieniem ksiąg buchalteryjnych zdławiony dymem fabrycznych kominów, pełny rachun-



Zahorce. Typy rusińskie, (fot. p. J. Jełowickiej).

kowości i drobnych nieszczęść, wśród walki o nędzne groszaki codziennego życia — ten świat winien się szczycić — że właśnie w czasie najnędzniejszych szachrajstw i brutalnych przemocy nad zwycięzonymi — zakwitł ten cudny kwiat piękności i dobroci! Byłem zachwycony jej wrażliwością. Należała do tych zjawiskowych istot, dla których słowa, są zbyt ordynarnym sposobem porozumiewania. O wierz mi! W godzinach naszego szczęścia — mówiliśmy oczyma! Zdawała się być we mnie, przeżywać każdą myśl — rozumieć do głębi moje pragnienia. Żyła nie koło mnie — lecz w mojej duszy — która była i jej duszą, a serce jej biło w takt mego serca! Tak upłynęło kilka miesięcy. W tym czasie postanowiłem się ożenić. Przyjęła moją propozycję z radością.

— Nie uwierzysz, jak bardzo jestem szczęśliwa — rzekła przyciskając się do mego ramienia. Będziemy szczęśliwi całe życie.

— Czy nie obawiasz się, że jest między nami zbyt wielka różnica wieku? — spytałem ją po chwili. Wszak wiesz, że mam już lat 40!

— Cóż to znaczy — odpowiedziała słodko! — Kocham Cię tak bardzo, że o niczem nie chcę wiedzieć...

Odpowiedziałem jej uściskiem pełnym zaufania. Istotnie, chociaż była odemnie młodsza więcej niż o 20 lat — wierzyłem jej. Zawsze byłem bardzo riservé do tego co ludzie nazywają — wrodzonym wstydem kobiety — lub poprostu moralnością, miałem zbyt wiele doświadczenia pod tym względem — no i grzechów na sumieniu, aby z łatwowiernością młodzieńca kłaść głowę pod ewangelję — ale w tym



Typ ludowy Kalinowiec, gub. Warszawska, (zdjęcie p. Stan. Stopczyka).

wypadku wierzyłem. Co chcesz mój drogi! Tyle razy nas zdradzono i tyle razy myśmy zdradzili — że jak się zdarzy okazja do wiary — każdy gotów uwierzyć z rozkoszą. Ja miałem na swoje usprawiedliwienie jej miłość, miłość słodką, pełną radości — miłość olśniewającą urokiem cichego pożądania, tętniącą bujną młodością! Wierzyłem... a jednak...

— Więc było... a jednak — przerwałem, nie mogąc ukryć lekkiego szyderstwa. Niebiańskość tego anioła... była z tego świata!

— A jednak — kończył Lucjan spokojnie — nie potrafiłem uszanować tego zjawiska

tak niezwykłego. Pewnego razu

po lekkiej sprzeczce z Mar-

rtą — wyszedłem na mia-

sto rozgoryczony. Nie

wiem jak i kiedy —

zalażłem do publicz-

nego ogrodu. Dosyć,

że włóczyłem się mię-

ędzy drzewami, myśląc

o niej i o sobie. Moje

obawy, co do wielkiej

różnicy wieku — przychodzące

zawsze w chwilach nieporozu-

mień — zjawily się i teraz. Jak

czarne duchy ciemności, krążyły

koło mojej głowy — szeptać mi do mózgu o wszyst-

kich przeciwnościach, o wszystkich zdradach i nie-

szczęściach, któreby spotykały i spotykają starych

mężów. Zdenerwowany i zły do ostatnich granic —

usiadłem na ławce pragnąc odpoczynku — i Boże

świety!... Myślałem, że śnię jakiś sen straszliwy.

W drugiej alei spacerowała Marta z jakimś studentem pod rękę.

— Voilà — szepnąłem mimowoli.

— Okrążyłem cały park, bo chciałem sam nie

będąc spostrzeżonym — zobaczyć ich twarze. I zo-

baczyłem! Student był tęgi, młody, przystojny —

roześmiany. Coś jej mówił gestykulując prawą ręką —

co ona przyjmowała z uśmiechem potakiw-

ania. Była spokojna i pewna siebie!

— Cicho, jak złodziej wyszedłem z parku! Po

chwili byłem już w domu. Usiadłem na tym sam-

ym co zawsze fotelu i długo patrzyłem na rozek

kanapy w którym zazwyczaj siadywała. Miałem

wrażenie, że ktoś umarł w moim domu.

Domyślasz się zapewne, co przeżyłem tej nocy.

Miałem za sobą młodość, która nie powraca. Ta

dziewczyna była jej echem, kochałem ją szczerze,

byłem dumny i szczęśliwy, że przyszła do mnie

tak poprostu z cudem swojej piękności — i oto tak

nie spodziewanie wszystko się rozwiało — i poszło

w przestrzeń. Bo do stu piorunów — wierzaj mi — wszystko przypuszczałem, tylko nie to, żeby ten młody, zdrowy student nie był jej kochankiem. Wyrafinowana zdrada tej kobiety szarpała mi serce. Byłem przekonany, że umyślnie grała komedję, aby mnie doprowadzić do kościoła. To, że była dosyć biedna, a przedstawiałem dla niej, dobrą partję! — jeszcze bardziej na razie umacniało mnie w przekonaniu. Postanowiłem zatem rozmówić się z nią stanowczo i jeżeli to się okaże konieczne — zerwać!

Nazajutrz przyszła. Poprzedziły ją kwiaty, które mi rzuciła przez otwarte okno.

Siedziałem tak jak teraz, paląc

cygaro, kiedy wpadły jak

białe gołębice — białe róże!

Weszła roześmiana,

radosna i od razu bez

słowa rzuciła mi się

na szyję. Odsunąłem

ją — stanowczowym

ruchem. Ach ten gest.

Ile razy przeklinałem go

uroczyście! Ten głupi, bru-

talny czyn doprowadził mnie

do katastrofy. Spojrzała na mnie

zdziwiona. Nie widziałem w jej

oczach ani lęku, ani zmieszania

tak zwykłego u bardzo nawet przewrotnych kobiet

w chwili podobnej. Patrzała jasno, pytająco, zdum-

ioną moim czynem. Wtedy siląc się na spokój,

prawdziwie wytwornymi wyrazami — powiedziałem

jej wszystko. Pamiętam doskonale nędzny frazes,

którym zakończyłem moją przemowę.

— Gdzie niema zaufania — nie może istnieć miłość!

— Więc ty mnie już nie wierzysz?

— Nie!

— Ten student — to mój stryjeczny brat, który

przyjechał niespodziewanie. Zapytaj się matki! —

Ona ci odpowie.

— Nie o pokrewieństwo mi chodzi, odpowie-

wiedziałem. Widziałem wasze twarze.

Nic nie odpowiedziała. Usiadła cichutko w rożku

kanapy i długo milczała. Wreszcie rzekła cicho

głosem, w którym czaiły się łzy.

— Cóż mam uczynić, abyś uwierzył?

I wtedy — o mój drogi — Lucjan zawahał się

przy tych słowach i spojrzał na mnie zaleknionym,

jakgdyby zażenowanym wzrokiem. I wtedy kończył

dalej z trudnością, urodziła się w mej głowie myśl

głupia i ordynarna. Wiedziałem że Marta jest re-

ligijna. Jej wiara nie była przyzwyczajeniem do form,

nie była obłudną, ale szczerze głęboko wierzyła



Pojeziory. Oficyna.

w istnieniu dobrego Boga — i tę wiarę, ten cudny kwiat jej czystego serca, postanowiłem wykorzystać dla siebie. Na małej kartce napisałem coś w rodzaju przysięgi i podałem jej...

— Jeżeli pójdziesz razem ze mną do kościoła i przeczytasz to przed ołtarzem — uwierzę ci. Powiedziałem i głęboki wstyd szarpnął moim sercem... Wiedziałem, że postępuję z nią, jak się postępuje ze sługą podejrzaną o kradzież kolczyków. Wiedziałem, że obrażam, że tą niewiarą i tym nędnym, niegodnym sprawdzaniem ściągam do poziomów — tę cudną dziewczynę — ale powiedziałem. Za wszelką cenę — powtarzam ci — chciałem mieć pewność — i nie zdradzałem nawet kiedy spojrzała na mnie oczyma pełnymi żalu.

Przeczytawszy kartkę — położyła ją koło siebie i długo — milczała. Sądziłem, że już nic nie odpowie. Myślałem nawet — że obrazi się pójdzie — lecz nie. Z jej ust przecisnęło się, straszne słowo, którego dźwięk przedziwny słyszę do tej pory.

— Dobrze!

Nie mogłem się już cofać. Kiedy wyszliśmy na ulicę chciałem odebrać kartkę i wszystko obrócić w żart. Ale Marta była tak poważną, że nie umiałem tego uczynić. Nie zamieniłem więc z nią ani słowa. I tak weszliśmy do kościoła. Było akurat po jakimś ślubie, czy nabożeństwie — i ludzie opuszczali świątynię. Przed ołtarzem Matki Boskiej paliła się lampka i tam się skierowała nie patrząc na mnie. Uklękła i głosem drżącym, ale wyraźnym czytała: „Na ciebie Chryste Jezu ukrzyżowany — i w imię Twej boskiej czystości Najświętsza Marjo — przysięgam“.

Chciałem wyrwać jej kartkę z ręki i uciec.

Ale nie śmiałem przerwać tej świętej modlitwy. „Przysięgam, że wszelkie obawy Lucjana są bezpodstawne. Przysięgam...“

I wtedy mój drogi zobaczyłem, że z jej cudnych, drogich, kochanych oczu spadają łzy — na kartkę przezemnie pisaną. Coś szarpało moim sercem i sam uczułem łzy w moich oczach. Ale było już zapóźno. Przeczytała do końca — i wstała. Spokojnie, poważnie wyszła z kościoła nie obdarzywszy mnie jednym spojrzeniem. Wyszedłem za nią miotany dziwnymi uczuciami. Z jednej strony byłem zawstydzony moim czynem — z drugiej, jednak moja wiara w jej czystość wróciła. Tak, teraz uwierzyłem, że mnie kocha, że moje obawy były tylko złudzeniem zazdrości i z uczuciem dziękczynienia podszedłem do niej, by ucałować jej kochane rączyny.

Stała na ulicy poważna i smutna. Podała mi rękę, które przycisnąłem do ust.

— Wybacz — szepnąłem ledwo mogąc mówić z wielkiego wzruszenia. Może postąpiłem nietakownie, źle, ale kocham cię tak bardzo.

— I ja cię kocham — odpowiedziała mi przez łzy.

— Więc przebacz i zapomnij. Jeszcze raz przycisnąłem do ust jej małą spłoszoną dłoń — i zawołałem dorożkę.

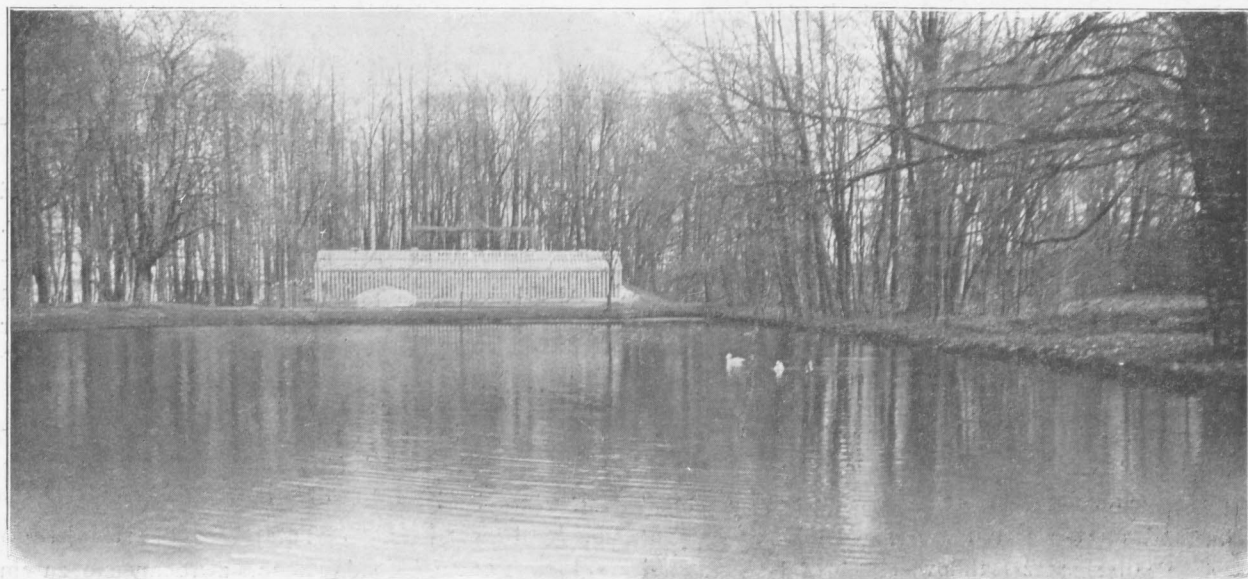
— Teraz pojedziemy na spacer — rzekłem nadrabiając miną — spojrzała na mnie oczyma konającego gołębia.

— O nie!.. Teraz... to już się nigdy nie zobaczymy.

Wsiadła w dorożkę i pojechała...

Od tej chwili już jej więcej nie widziałem.

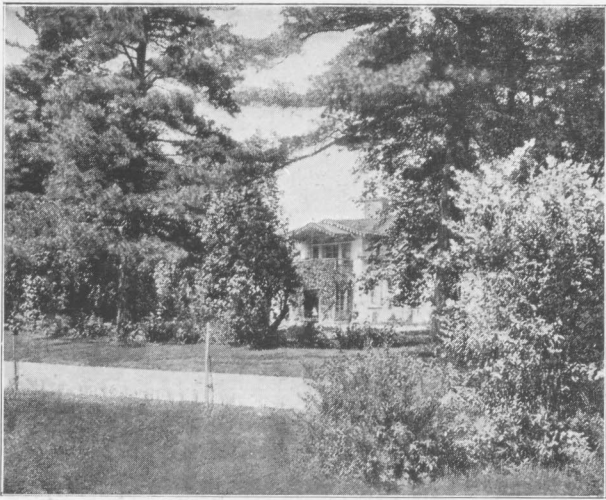
Lucjan skończył... i długo patrzył na dymek swego doskonałego Bock'a...



Pojeziory. Staw parkowy.

Z SIERADZA KU KALISZOWI.

(Dokończenie).



Dwór w Dziebądowie, wł. p. Ignacego Michalskiego
(zakł. fot. M. Raczyńskiego w Kaliszu).

Podążając ku Kaliszowi, mijamy żyzne i dobrze zagospodarowane wioski: Dziebądów z pięknym starym parkiem, Zawady, Kwasków, Kostrzewice. W południowej stronie widzimy strzelistą wieżycę kościoła — to Wąglczew, jeden z piękniejszych kościołów w okolicy, dawny klasztor Bożogrobców Miechowitów. Wąglczew w XII w. był wsią królewską. Kodeks wielkopolski wspomina, że w 1358 r. należał do klasztoru: „Sanctae Mariae in Arena Vratislaviae”. Klasztor ów miał patronat nad parafialnym kościołem; w XV w. istniał drewniany kościółek. Do tej parafji wąglczewskiej należy wieś Łubna, gniazdo Łubieńskich, z których czterej bracia: Maciej, Stanisław, — biskupi, Wojciech — kanonik i Marcin — jezuita wzniesli piękną mурowaną świątynię (1626 r), mieszczącą później grobowce Łubieńskich, przy której osadzili Kanoników regularnych Grobu Chrystusowego, uposażywszy bogato w aparaty. Obecnie klasztor zamieniony na plebanję ma piękną fasadę szczytową.

W północnej stronie od Błaszek czerwienią się mury stacji kolei Kociołki, a za nimi widać mury kościółka i dworu w Kalinowie. Położona nad rzeczką Swędrnią — stara to siedziba rodu Zarembów, osiadłego od wieków w sieradzkim w Kalinowie, skąd niektórzy pisali się też Kalinowskimi. W XIII w. erygują oni tu parafję, a 1480 r. Jan Za-



Herb Łubieńskich (na plebanji) fundatorów klasztoru Bożogrobców w Wąglczewie (fot. amat).

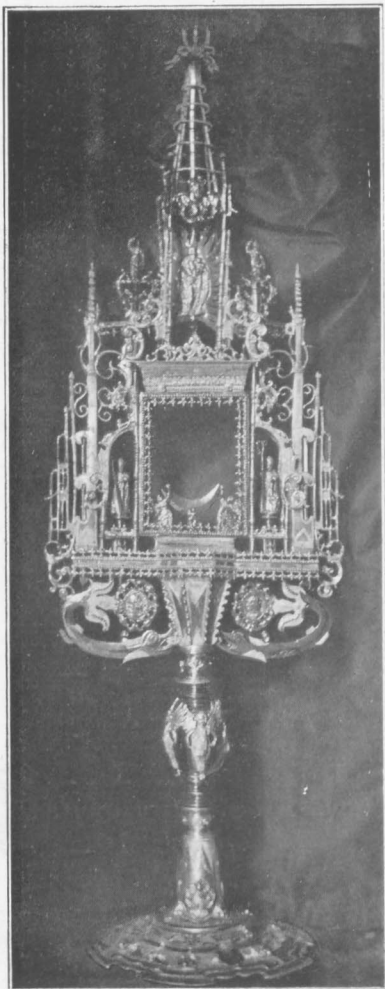
remba stawia, istniejący po dziś dzień, mурowany kościół i ustanawia Misjonarzy, których potwierdza w XVII wieku Maciej Łubieński. Przez cały wiek XV Zarembowie: Marcin, Wawrzyniec, Jan piastują kasztelanję sieradzką. Marcin funduje w Sieradzu 1417 r. szpital i kościół św. Ducha. Kościółek ten stał w tem miejscu, gdzie obecnie krzyż



Wąglczew. Szczyt klasztoru zbudowanego około r. 1626
(fot. amat. H. Piekarskiego).

przed szpitalem stoi, sam zaś kościółek przeniesiony został na cmentarz grzebalny. Mikołaj Zarembo stawia 1450 r. piękny kościół w Tuliszku, dotąd istniejący. W połowie XVII w. Kalinowa przeszła do Łubieńskich i była w ich posiadaniu do początków XIX w. Dwór mурowany ma pochodzić też z XV w.; co świadczyć ma napis na belce, — niczem szczególnem się nie odznacza, jak i kościół.

Tutaj kres sieradzkiego dawnego, zwróćmy się zatem ku północnej stronie Sieradza. Wyjeżdżając z za rogatek, je-



Wąłczew. Monstrancja.

dziemy kawałkiem szosy, wiodącej ku cmentarzom. Na katolickim wznosi się skromny drewniany kościółek św. Ducha. Fundowany przez wyżej wspomnianego Marcina z Kalinowej Zarembe, kasztelana sieradzkiego, razem ze szpitalem oddany został Miechowitzom. Po zniesieniu tychże, rozebrano go w 1786 r., i przeniesiono na cmentarz, gdzie po gruntownym odrestaurowaniu 1835 r. po dzień stoi. Posiada stary obraz św. Trójcy, sprawiony 1568 r. do kolegiaty, stojącej przy zamku w tem miejscu, gdzie

wna wieś królewska, choć nazwa wskazuje, że była uposażeniem jakiegoś klasztoru. Grądy, dawna własność Grądzkich. Mijamy kolonję Osmolin, skąd



Kalinowa. Dwór, własność p. Konstantego Murzynowskiego (zakł. fot. W. Boretti—Kalisz).



Kalinowa. Kościół zbud. około r. 1465 przez Jana Zarembe (zakł. fot. W. Boretti—Kalisz).

obecnie na targowisku krzyż stoi. Zniszczona kolegiata za wojen szwedzkich, skoro popadła w ostateczną ruinę, obraz przeniesiono do kościółka św. Ducha, a z nim razem dostał się na cmentarz. Tuż za cmentarzem linja kolei przecina nam drogę, naprawo od niej widzimy rozległe błonia, a na nich wioski: Dzigorzew, nad rzeczką Dzwigószówką, która tutaj łączy się z Wartą, dalej Mnichów, Grądy, Sucha.

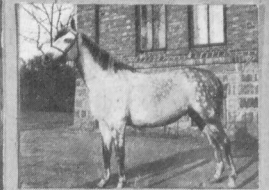
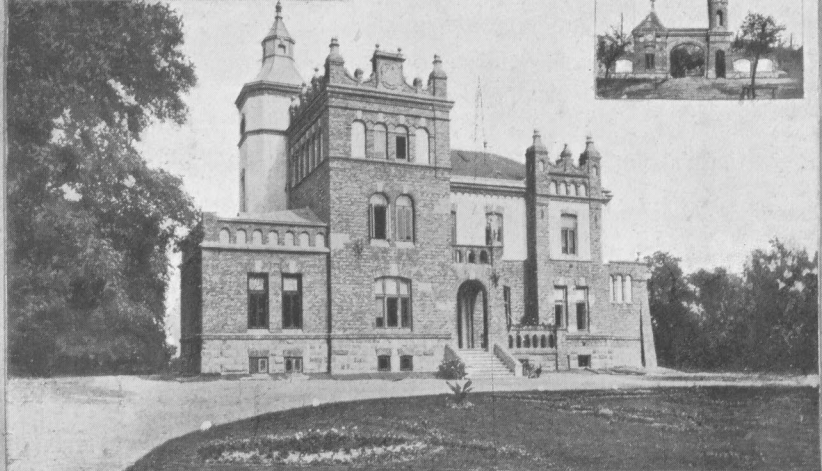
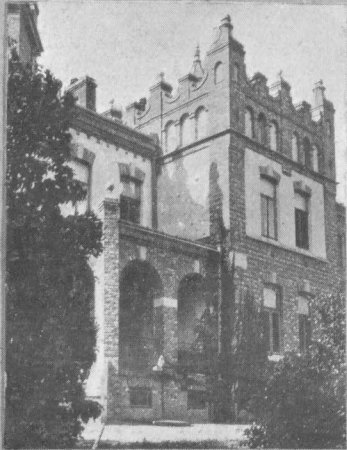
Rozdzielające się dawniej koryto rzeki Warty, utworzyło wyspę, milę kwadratową obejmującą, na której rozłożyły się wioski: Sucha, wieś do starostwa sieradzkiego dawniej należąca, około 1840 r. przeszła w ręce prywatne. Mnichów, da-

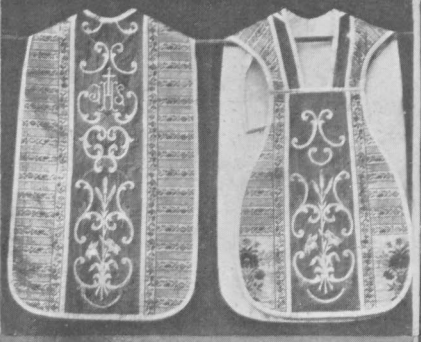


Sieradz. Kościółek Św. Ducha na cmentarzu (f. p. R. Cholewińskiego).

Obraz św. Trójcy w kościółku św. Ducha na cmentarzu w Sieradzu.

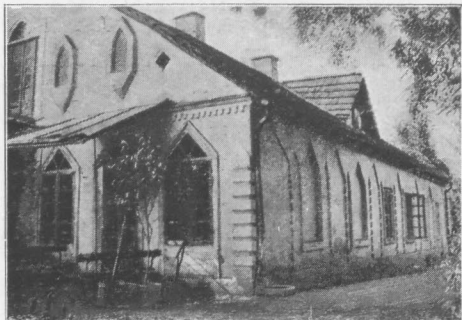






CHARLUPIA MALA.

widzimy w ładnym położeniu nad strumykiem Meszną, wieś Charłupię-Małą, gdzie w wieńcu starych lip, stoi drewniany kościółek, z cudownym obrazem Matki Boskiej. Parafia ta istniała już w XVI w., gdyż roku 1540 konsekrowano kościół—przetwał on



Bartochów. Dwór (fot. amat.).

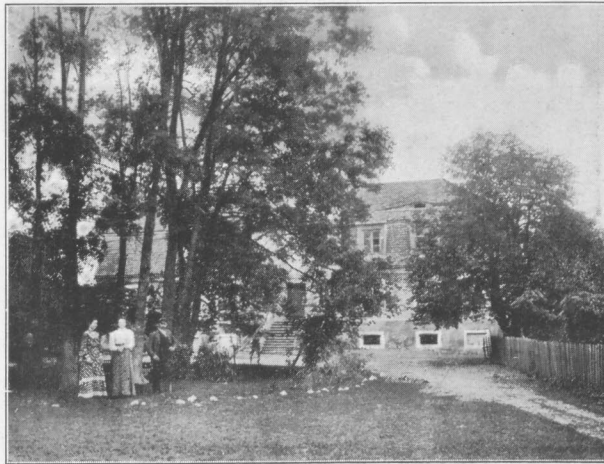
do 1765 r. Kościół obecny fundacji Walewskiego Wojciecha, ziemskiego sędziego sieradzkiego, posiada kilka starych za-

bytków: piękną gotycką chrzcielnicę z napisem w literach gotyckich: „Nisi quis renatus pierit ex aqua et spiritu s. non potest intrare in regnum Dei. — Felix Gomoliński annus 1538“. Stary obraz na tle złotem Wniebowzięcia M. B., kilka starych ornatów z pasów złotolitych, kielich i łyżkę z czasów przyjmowania komunji pod dwoma postaciami. W roku 1907 odbyło się uroczyste poświęcenie fundamentów przez biskupa Zdzitowieckiego pod nowy kościół w stylu nadwiślańskim, podług planów inż. Szyllera budowany. Pod Charłupią musiała być stoczona jakaś potyczka ze Szwedami, istnieje bowiem dotąd kopiec, mogiła szwedzka; na niej obecnie stoi kamienna figura św. Jana. Tuż za Charłupią, łącząc się z nią prawie, leży duża wieś Dzierlin z charakterystycznym dworem o podwójnym dachu mansardowym; dochodzi ona do samego traktu sieradzkiego, przy którym stoi młyn wodny na brzegu dużego stawu, utworzonego zatrzymaniem rzeczki Mesznej.

Wjechawszy na szczyt pagórka, widzimy górujące ponad okolicą okazałe mury dworu w Biskupicach, postawionego przez obecnego właściciela, Stanisława bar. Graevego, podług projektu budowniczego Apolonjusza Nuniewskiego. Wiedzie doń ładna brama wjazdowa. Biskupice, gniazdo rodziny Biskupskich, w pięknym położeniu nad niziną rzeki Warty, od-

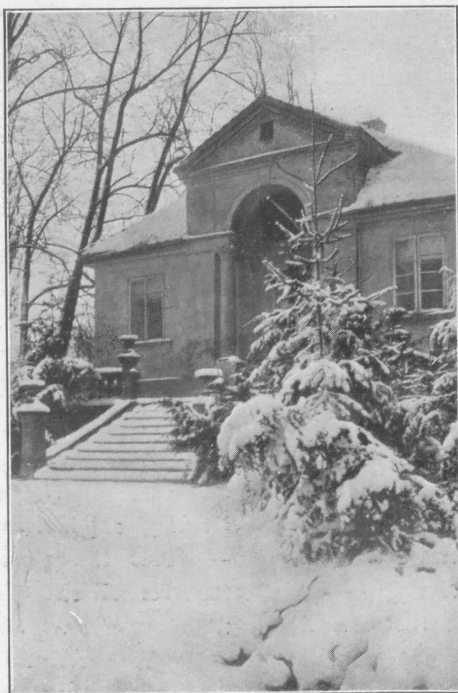
znaczają się pyszną, urodzajną glebą w wysokiej kulturze.

Tuż za nimi mijamy kolonje: Żeżosławice, Kowale, Baszków i zbliżamy się do Bartochowa. Do niedawna jeszcze, pomimo rozparcelowania, widzie-



Dwór w Dzierlinie, post. w r. 1830 przez Koźmińskiego, wł. p. Brzezińskiego (zakł. f. M. Raczyńskiego w Kaliszu).

liśmy tu pełno śladów dawnej kultury, a nawet mody z końca XVIII w. Dwa dwory—jeden stary mieszkalny, drugi, t. zw. Belweder na pomieszczenie zbiorów broni, ksiąg, medali, archiwum po Małachowskich, które zgromadziła Julja z Małachowskich kasztelanowa Biernacka. Kryły się w pełnym starodrzewiu, choć niewielkim parku, gdzie porozrzucane kamienie z napisami, dawniej jeszcze posągi, obeliski, świadczyły o gęście i zamięłowaniu dawnych mieszkańców. Obecnie to wszystko zburzone, siekiera nowonabywców w pień wycięła drzewa, mury rozebrano na cegłę, śladu niema tego, co było. Na szosie stoi samotny kopiec z figurą św. Jana, znać stary być on musi, bo lat temu kilkanaście, wykopano tam garnek z piąstkami z czasów Jana Kazimierza. Przez Bartochów



Bartochów. Belweder (fot. amat.).

płynie strumyk, biorący początek ze źródeł na łąkach w Tubądzinie; jako zasilany przeważnie przez źródła i płynący samymi łąkami torfiastymi, odznacza się on zimną wodą, to też w stawach bartochowskich, utworzonych przez zatrzymanie tego strumyka, nigdy żaby nie skrzeczą na wiosnę, gdyż szukają gdzie-

indziej cieplejszej wody. Ludność miejscowa utwo-
rzyła z tego legendę, że pewien świętobliwy starzec—
pielgrzym, nie mogąc



Portret kasztel. Pawła Biernackiego
(zakł. fot. W. Boretti, Kalisz)

uzyskać od miesz-
kańca Bartocho-
wa wody do
picia, prze-
kłął wody
bartocho-
wskiej od-
tąd nawet
żaba jej
unika.

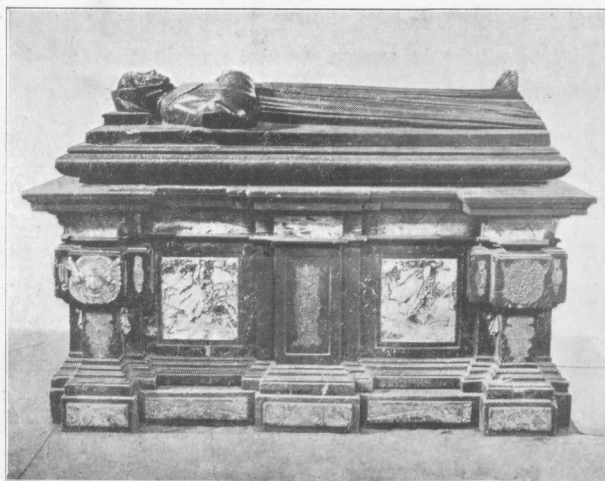
Jest jesz-
cze i dru-
ga legenda:
w czas głó-
du straszne-
go, dziedzic
miejscowy, ka-
sztelan, wysłał
zboże swoje

kolwiek kwestarzu, wysłanym do kasztelana. Przy-
wołany woźnica, który przywiózł zboże kasztelana
do klasztoru zeznał, że
dogonił ich już pod
Włocławkiem
braciszek za-
konny i ka-
zał zawrócić
jednemu do
klasztoru.
Porówna-
wszy czas
bytności
zakonnika
w Barto-
chowie i u-
kazanie się
go woźnicom
dowiedziano się,
że działo się to
prawie w je-
dnej godzinie.

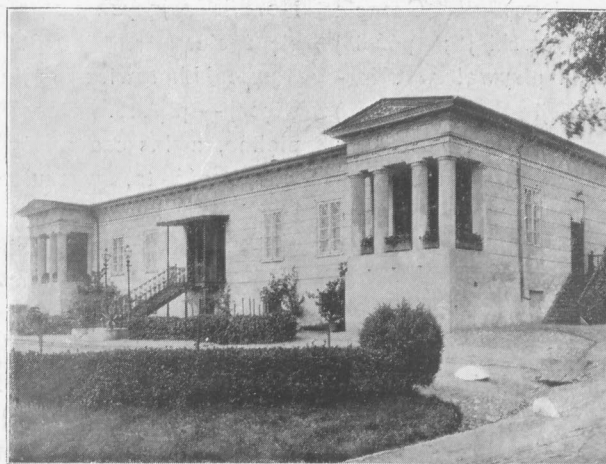


Julja z Małachowskich Pawłowa Biernacka
(zakł. fot. W. Boretti, Kalisz)

końmi do Włocławka do
Wisły, aby stamtąd wodą
do Gdańska popłynęło;
właśnie w tym czasie
przychodzi doń skromny
kwestarz i prosi o jałmu-
żną dla klasztoru O. O.
Bernadynów w Warcie,
którzy niedostatek wielki
w tym czasie cierpieli.
Kasztelan wymawia mu
się, że nic dać nie mo-
że, gdyż całe zapasy
wysłał już w drogę i da-
leko zapewne już być
muszą, a jeżeli nie wie-
rzy, to niech idzie za
nimi, a dogoniwszy, niech
zawróci wóz cały do kla-
sztoru. Zakonnik podzię-
kował i wyszedł. W parę
dni potem brać zakonna
śle gorące podziękowa-
nie dobrodziejowi swemu
za tak obfite zaopatrze-
nie pustej spiżarni. Kasz-
telan zdumiony, jedzie
sam do klasztoru, aby
widzieć się z tajemniczym
kwestarzem. Tam ze zdu-
mieniem słyszą o jakim-



Sarkofag błog. Rafała w b. klasztorze OO. Bernardynów w Warcie,



Dwór w Małkowie, wł. p. Pstrokońskiej. (fot. M. Raczyński, Kalisz)

Ojcowie Bernardyni do-
myśliли się zaraz, kto jest
tym dobrodziejem. Idą
z modłami wraz z kasz-
telanem do podziemi
klasztornych, gdzie spo-
czywały zwłoki błogo-
sławionego Rafała i tenże
poznaje w zwłokach świę-
tobliwego męża, niezna-
nego kwestarza.

Za Bartochowem za-
czynają się pola Małkowa
w prześlicznym położe-
niu, wjechawszy bowiem
pod Bartochowem na szo-
sę, wiodącą do Warty
z Sieradza, droga prowa-
dzi u podnóża szeregu
wzgórków wyniosłych
i urwisk, stanowiących
obramowanie dorzecza
Warty; wszystko to po-
rosłe dębina, brzezina,
sośnina, tworzy ładną
całość. Na jednym ze
wzgórków stoi dwór, po-
stawiony około 1830 roku
przez Biernackich, z ko-
lumnami jońskimi na
przodzie, skąd roztacza

się rozległy widok na całą dolinę Warty, aż hen na lasy po drugiej jej stronie ciągnące się.

Za dworem i zabudowaniami dworskimi zaczyna się kolonja Duszniki niejako przedmieście miasteczka Warty. Przejeżdżamy koło urwistych brzegów; między nimi wskazują jeden, tworzący jakby szaniec. Mają to być ślady grodziska, czy zamku, który kiedyś w Warcie miał istnieć.

Obejrzawszy się za siebie widzimy, że przebyliśmy część kraju ubogą w pamiątki, nie celującą pięknnością położenia, ale odznaczającą się, dzięki bliskości granicy, większą może kulturą od innych części kraju. Niema na całej drodze latifundjów, wszędzie mniejsze majątki prowadzone przez samych właścicieli. Widoczna większością drogi linja kolei i wybornie utrzymana szosa, nadająca jeszcze większy pozór kultury.

Lud też tutaj więcej już wyrobiony, więcej samodzielny—śmiało spogląda w oczy, na ogół trzeźwy, spokojny i pracowity; trzeba wszakże zaznaczyć, że potęgująca się wciąż parcelacja większych gospodarstw i ciągła zwyczajka cen ziemi, wyrobiła w ludzie żyłkę spekulacyjną. Znikło prawie ze szczętem owo przywiązanie tradycyjne do rodzinnego gniazda, zagrody, wioski. Przenoszą się z jednego miejsca na drugie bez żadnych oznak żalu za opuszczoną siedzibą i gonią za zyskiem.

Bliskość granicy, wychodźstwo obrzymio rozwinięte na roboty na zachód—cywilizują go znacznie. Jako ujemną stronę wychodźstwa, między innymi,

trzeba uznać skażenie języka, gdyż lud tam przyswaja sobie mnóstwo wyrażań i zwrotów niemieckich. Zanikają też w przyspieszonym tempie stare obyczaje, obrzędy, tradycje. I rzecz dziwna, czy to zaniknięcie w dolinie porzecza Warty, czy też przywiązanie do niej, czyni mieszkańców jej najwięcej konserwatywnymi w ubiorze i obyczajach.

Mieszkańcy wiosek, nad samą rzeką położonych, zachowali dotąd i ubiory, i obyczaje dawne, im dalej od niej i to w obiedwie strony, tem większy ich zanik. To wychodźstwo, odciągające ludność przez trzy czwarte roku od domu wpłynęło też na zanik prawie zupełny przemysłu domowego.

Tkactwo jeszcze na dorzeczu Warty spotkać można, na całej zaś drodze ku Kaliszowi zarzucono je zupełnie, nietylko tkaniny wełniane, ale nawet lniane; w ostatnich latach już len rzadko można spotkać w gospodarstwach włościańskich. Wyroby z wikliny, koszyki i t. zw. półkoszyki na wozy są wyrabiane też tylko w nadrzecznych wioskach i dowożone na rynki miasteczek, gdzie pokup chętny znajdują.

Zarzucono prawie wszędzie i stare sukmany, które taką dostojność postaciom nadawały, a zamieniono je na krótkie kurtki niemieckiego kroju. Szaro też i szablonowo wyglądają większe zgromadzenia nasze, nie oślepiają nas jaskrawe szarfy księstwa łowickiego—lecz choć pozory inne, serca te same, dusze te same pocziwe, które podniesione ku światłu ujrzą prawdę i opoką się naszej przyszłości staną.

Tubądzin, 1 czerwca 1911 r.

KAZIMIERZ WALEWSKI.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Jako *sui generis* ewenement artystyczny zdarzyła się premiera oryginalnej komedji Ignacego Nikorowicza p. t. „W gołębniku“. Autor jest znany dziennikarzem lwowskim, gdzie pracował w „Słowie Polskim“ (za czasów Romanowicza) w „Ruchu Katolickim“ (niegdyś Zawadzkiego) w „Gazecie Narodowej“ i w „Gazecie Lwowskiej“; później przesiedlił się do Warszawy; tu pisywał w „Kurierze Godziennym“ (za redakcji S. Libickiego) w „Tygodniku Ilustrowanym“, i w „Bluszczu“; wreszcie wyjechał do Monachjum. Ztamąd przysłał scenie Rozmaitości napisaną do wspólni z Wacławem Gąsiorowskim sztukę p. t. „Pani Walewska“, która jednak nie zdobyła szerszego powodzenia. W teatrze Krakowskim, u Solskiego, wystawiał następnie Nikorowicz trzyaktową satyryczną komedję p. t. „Cenzor moralności“ którą Warszawa pokazał ś. p. Gawalewicz w swoim Małym teatrze; w nieszczęśliwej jednak obsadzie i zlekceważonej reżyserji rzecz ta przeszła bez wrażenia,

nie wydobywszy z talentu autora żadnej z jego cech zasadniczych. A cechy te są jednak dość ciekawe i rzadkie, składają się one na indywidualność u nas zupełnie oryginalną i pozwalają spodziewać się jeszcze od Nikorowicza rzeczy orzeźwiających i odmładzających nasze zbyt szybko starzejące się życie.

Bo Nikorowicz ogromnie kocha życie, a jeszcze więcej—piękno. Dusza jego jest dziwnie na to piękno, zwłaszcza na żywe piękno, wrażliwa. Ale wrażliwość ta, wyczulona prawie do kobiecości, filtruje się w nim ciągle przez pewien życiem wyrobiony estetyzm, skłaniający go przedewszystkiem ku rzeczom i pojęciom wysubtelnionym w swej jasności, miękkim, łagodnym, o pastelowych tonach barw, o stłumionym, delikatnym, ale bardzo czystym dźwięku uczuć. Stąd płynie owa wybredność Nikorowicza w temacie, jeszcze więcej uderzająca w jego obrobieniu. Dlatego ostatnia jego sztuka, ów „Gołębnik“ świeżo wystawiony w Letnim te-



Ignacy Nikorowicz, autor sztuki „W gołębniku”.



L. Wostrowski, reżyser sztuki „W gołębniku”.

atrze, pełen jest takiej delikatnej, subtelnej piękności, pełen widocznego umiłowania dla wszystkiego, co w życiu *pięknem można uczynić*. I dlatego nasmuwają się krytycy przypuszczenia Fredrowskich i Rostandowskich reminiscencji w tej sztuce. Ale

Nikorowicz ani pod wpływem tych reminiscencji nie jest, ani też chciał sobie zrobić literacką zabawkę kopując te wzory. On taki jest. Tak czuje. Takie same estetyczne wrażenia szeregował niegdyś w pastelowych noweletach rozrzucanych po



W „GOŁĘBNIKU”. Scena z II aktu.

Od lewej ku prawej:
Wojdałowicz, Rapacki, Szylinzanka, Wostrowski, Lubicz-Sarnowska, Larys-Pawińska i Trapszowa (pierw. rola po zaang. do teat. rząd.)
(fot. W. Szyblewski).

odcinkach pism lwowskich w latach dziewięćdziesiątych, takie same subtelne momenty nastrojów i delikatnych wzruszeń wydobywał w maleńkich feljetonikach „Kurjera Codziennego“ w roku 1904 w Warszawie. Ale — zapomniano o tych drobniactwach, w które wkładał on po kawałku duszy, sam o nich pozwalając zapomnieć...

„W gołębniku“ — nie jest bynajmniej „kawałem razowego chleba, rzuconym zgłodniałym“ — jak to napisał Władysław Rabski *ex re* zachwyty krytyki lwowskiej nad tą sztuką. Najlepszym tego dowodem, że tych „zgłodniałych“ brakło już na trzecim przedstawieniu tej sztuki... a przecież... przecież było ich pełno na „Sądzie“ Czesława Halicza, którego konkursowe laury tak wymownie i szczerze wyłómaczył pan Rabski.

Treścią sztuki Nikorowicza są kłopoty miłosne młodego trzpiota, który przyjechał na wieś do ciotki, rozkochał w sobie aż trzy kobiety — dwie wiejskie panienki i uroczą wdówkę, i każdej z nich oświadczył się o rękę. Z kłopotów trzpiot Zbyszko ratuje się, swatając swe wybrane towarzyskom i to znów tak nieopatrznie, że kiedy młodą wdówkę chce wreszcie dla siebie zostawić — już jest zapóźno. Wdówka odchodzi z sąsiadem, któremu ją popchnął lekkomyślnie w ramiona.

Ale „zapóźno“! którem kończy się sztuka nie jest i nie będzie żadną tragedją. Nawet „sytuacją z dramatu“. Zbyszko zakocha się znów, a właściwie znów będzie bałamucił, bo gra w nim żywa, wrażliwa na piękno, na nastroje słoneczne, krew...

Tem słońcem istotnie przepojona jest cała sztuka Nikorowicza. Tylko to słońce filtruje tu swoje promienie przez listowie drzew, grzeje, ale nie piecze — złoci, ale nie pali. Wszystko dzieje się jakby w jednej jakiejś przedwieczornej cichej i słodkiej godzinie, kiedy upał dzienny wsiąkł już w drzewa i łąki, kiedy wszystko na tym kawale naszej swojskiej ziemi ułożyło się w akord spokojnej, letniej pogody, a na tle tej harmonji serca i pragnienia młode trzepocą się jak motyle na pąkach róż...

Cudowną tę harmonję, ogromnie swojską w kolorycie i tonach wydobyła świetnie reżyserja Wostrowskiego, stwarzając nastrojowe *mise en scène* w dekoracjach i utrzymując we właściwym charakterze wszystkie osoby zespołu oraz całe, spokojne i naturalne tempo akcji. Pani Trapszowa, Lubicz-Sarnowska, Szylinzanka, Larys-Pawińska, Tworowska i pp. Rapacki, Wojdałowicz, Wostrowski, Janusz, Hryniewicz i debiutujący na tej scenie pan Czapelski — stworzyli zespół bardzo dobry i harmonijny, zarysowując swe role z umiarem, który nic im nie ujął, a charakter sztuki utrzymał.

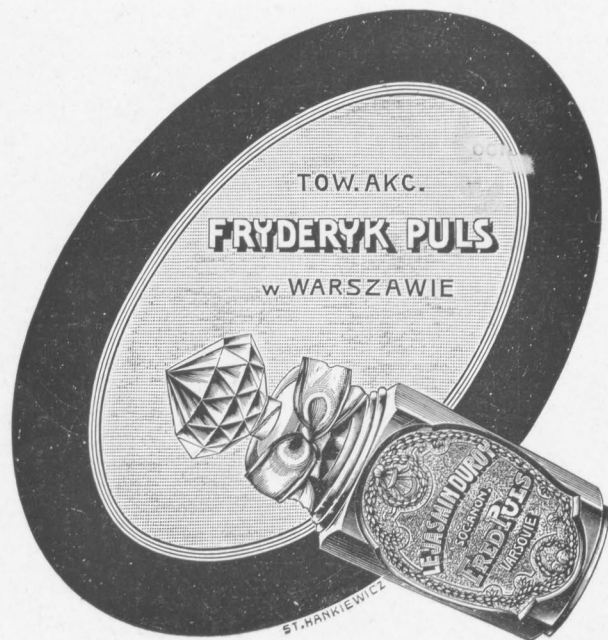
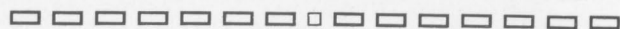
Możnaby dziwić się, że Nikorowicz tyle pracy

włożył w sztukę, której wartość polega na subtelnym wdzięku, na „swojskości“; na zręcznej scenicznej fakturze, na wierszu miłym i jakby umyślnie trochę prymitywnym; ale śmiem twierdzić, że są to tylko pozorne, a przynajmniej powierzchowne zalety. Nawet wrażenie spokojnej ulgi, swobodniejszego oddechu, wyniesione z tego przedstawienia należy tylko do pośrednich rezultatów autora.

Pod tem wszystkim jako przyczyna twórcza, jako źródło główne i pierwiastek zasadniczy — leży silne ukochanie piękna i życia przez jego piękno. Wieje z tego bardzo rzeźwy świeży powiew na wszystkie w udręce, trosce, szarzyźnie beznadziejnej pograżone dusze. Może to orzeźwienie płynie jeszcze dziś za małym, za wąskim prądem — jak wietrzyk z wachlarza czupurnej Stasi czy Zosi — ale któż może zgadnąć, na jaką tego prądu siłę zdobędzie się talent Nikorowicza jutro?.. Dziś widać że tworzyć on musi, że wypowiadać się potrzebuje i chce. Więc jutro jego. Od niego zależy jakie ono będzie — czy po gołębnikowych gruchaniach i przedwieczornej słońca pozłocie wstanie dzień jego jasny z mocnym słońcem, czy też nad *motylą igraszką*, tkliwych serc, wieczór jeno zapadnie cichy i woni letnich pełen?..

W każdym razie dziś „kochać“ więcej znaczy i trudniej jest niż — „nienawidzić“...

NICK.



Wrażenia z wystawy inwentarza w Lublinie.

W początku ubiegłego miesiąca (5, 6, 7, 8, 9 czerwca) odbyły się w Lublinie dwie wystawy rolnicze, a mianowicie: Krajowa wystawa koni, urządzona przez Sekcję chowu koni przy Centralnem Tow. Roln. w Królestwie Polskiem i Gubernialna wystawa bydła urządzona przez Lubelski Związek Hodowlany.

Wystawy te, zorganizowane na obszernych dwóch placach przy rogu ulic Okopowej i Cmentarnej, połączonych arkadą drewnianego mostu przerzuconego nad dzielącą je ulicą, przedstawiły się bardzo okazale. Wystawiono mianowicie do 400 sztuk koni i do 500 sztuk bydła, paręset sztuk owiec cienko wełnistych i zarodowej trzody chlewnej, także trochę drobiu.

W dziale koni wystawców było 58, w dziale bydła zaś 39. Wystawa koni miała na celu przedstawienie obecnego stanu i kierunku hodowli krajowej i dzieliła się na dwa zasadnicze działy: wierzchowy i roboczy oraz dodatkowy, trzeci, włościański. Wystawa bydła obejmowała okazy rasy: 1. holenderskiej czarno-srokatej, 2. holenderskiej czerwono-srokatej (Wschodnie Fryzy), 3. czerwonej, polskiej, 4. Angeln, 5. Schwyc, 6. Simmenthal, 7. Pinzgau.

Najwięcej okazów wystawionych należało do dwóch pierwszych ras, zwłaszcza pierwszej (czarno-srokatej) i do rasy Schwyc. Z punktu widzenia hodowlanego w holendrach tych lepiej przedstawiały się okazy żeńskie, silnie rozwinięte, głębokie, posiadające wszystkie zewnętrzne cechy wysokiej mleczności. Okazom męskim brak było wydatnego typu męskości; nikł on w kształtach, jak gdyby za miękkich, a zanadto przerosłych nie w muskulaturze lecz — w mięsie. Najlepiej przedstawiały się okazy z obór „Łęczna“ (p. J. Bogusławski, „Mogilnica“ (p. Jan Piątkowski), „Radlin“ (p. L.) Gosiewski), „Milejów“ (A hr. Roźnowski). Wschodnie Fryzy reprezentowane były dużo silniej pod względem typu (obory „Bortatycze“ pp. A. Hełczyńskiego i K. Lipczyńskiego, „Bronice“ p. Wołk-Laniewskiego i „Brzezice“ G. hr. Scipio del Campo).

Najwspanialej jednak przedstawiały się okazy zarodowe rasy „Schwyc“. Wystawiło je 11 majątków: „Bystrzyce“ p. T. Rajowski, „Gardzienice“ p. J. Drecki, „Kawenczyn“ p. K. Tuszyński, „Leśce“ p. W. Trzciniński, „Modryń“ p. W. Milowicz, „Orłów“ — T-stwo Osad Rolnych z zapisu hr. Kichiego, „Oszczów“ p. St. Kiełczewski, „Stryjów“ p. T. Białecki, „Surhów“ p. W. Szczypiorski, „Wierz-

chowiska“ p. G. Świda i „Wola Studziańska“ p. Hugon Radziejowski.

Całość w przeglądzie przedstawiała się wprost imponująco i chyba żadna inna gubernia Królestwa nie może się poszczycić tak jednolitą w typie hodowlą. Wszystkie okazy doskonale utrzymane, wykazują, że hodowli tej przewodzi wyborne pojęcie właściwych tej rasie cech; ani jednej sztuki przerosłej nie widziałem; wszystkie na doskonale rozwiniętym i wyraźnie mocnym szkielecie, mają akurat tyle ciała, ile potrzeba im do normalnego procesu biologicznego. A muskulatura wyraźna, zwięzła u stadników, nie tamuje im swobody ruchów ciężarem tłuszczu, zapewnia siłę i pełnię zdolności przelewania swego wysoko szlachetnego typu. Mleczność procentem tłuszczu dorównuje holendrom, niekiedy je w ogólnej cyfrze przewyższa. Typ wspaniale zaaklimatyzowany do zdziwienia nawet ze względu na głębszą różnicę warunków bytu tej górskiej rasy w kraju nizinnym. Niektóre sztuki, u których przebija się odmiana „Montafun“ (ciemniejsza, z piętami na grzbiecie), wyglądają jak z obrazka. To górskie bydło, dodać należy, nie straciło w naszej ziemi ani jednej typowej swej cechy w budowie, złożeniu, maści, lekkości swej i zgrabności szlachetnej ruchów, a przybrało pewne dodatnie wpływy nizinnych pastwisk we wzroście, sile i wadze. Szwycy tak wyborne się aklimatyzujące u nas wydają się wciąż jedną z najwłaściwszych dla nas ras do importu, a gubernia lubelska dowiodła tą wystawą, że zapotrzebowania importowe doskonale w jej krajowej hodowli dadzą się pokrywać i że import „Szwyców“ z zagranicy nie jest już dla nas koniecznością. Mamy je w kraju wyborne. Wystarczy tylko przejechać granice wewnętrzne gubernji!

Wspaniałe „Simmenthale“ wystawili też pp. J. Florkowski (Fajstławice) J. Rulikowski (Poturzyn), St Rohland (Tuszów), F. hr. Poletyło (Woysławice, b. znana obora zarodowa) i piękną oborę rasy „Angeln“ p. L. Krysiński z Siedlisk — wreszcie dobre próbki rasy krajowej (czarna, kraśniczyńska) hr. J. Poletyło (Kraśniczyn) i p. L. Starnawski (Stefanów — rasa czerwono-wiśniowa, krajowa).

Przechodząc do sprawozdania z krajowej wystawy koni, obejmującej materiał dużo mniej jednolity, a nawet — powiedzmy to odrazu — bardzo różniczkowany choćby dużo większą ilością wystawców-właścicieli nie będziemy się trzymać w ocenie tych wytycznych, jakich dostarczyły nagrody i premie zainteresowanych w naszej hodowli instytucji.

Chodzi nam o ujęcie wrażenia ogólnego z wystawy w stosunku do jej celu, t. j. do przedstawienia stanu i kierunku obecnego w hodowli krajowej.

Gubernia lubelska w hodowli koni zajmuje pierwsze miejsce w Królestwie. Hodowcy lubelscy stanowili też prawie $\frac{2}{3}$ ogólnej liczby wystawców. Gubernia lubelska dostarcza dziś połowę ogólnej liczby koni, zakupywanych u nas w kraju do remonty.

To też, rozejrzawszy się bliżej po materiale, nagromadzonym na obszernym placu wystawowym w stajniach hodowców lubelskich, przyszedłem do wniosku, że typem lubelskiej hodowli konia pół krwi jest — *remonta*.

Kto widział w masie zakupy dokonywane u nas przez komisję remontową, kto spotykał się z tą remontą w użytku wojska, kto wreszcie ma wyobrażenie o remontach zagranicznych i kto sobie te wrażenia pamięciowo zestawi, ten nie będzie zbyt zachwycony *kierunkiem* hodowli lubelskiej. Remonty lubelskie cenione są najwyżej przez komisję remontową. Czy znaczy to, że są one najbliższe ideału konia pół krwi?

Bynajmniej. One są tylko w kraju materiałem najlepszym. Dużo lepszym, od rosyjskiego. Ale — daleko im do koni pół krwi hodowli zagranicznej. Hodowla lubelska produkuje pokupny dla armji towar. Z punktu widzenia dochodowości hodowli znaczy to wiele. Ale z punktu widzenia hodowli konia pół krwi — bardzo mało.

Koń pół krwi — dobry, najwięcej zbliżony do ideału — powinien posiadać w niewiele niższym stopniu szlachetne zalety tej pełnej krwi, z której na materiale niewiadomego pochodzenia, ale selekcyonowanym praktyką, wyprodukowany został.

Anglo-araba, pochodzącego ze skrzyżowania pełnej krwi angielskiej z pełną wschodnią, nie można też właściwie nazywać koniem pół krwi. Jest to koń krwi podwójnej, ale pełnej, nb. o ile pełność obu dowiedziona w rodowodach.

Mówiąc o koniu pół krwi, w ścisłym tego wyrazu znaczeniu, mamy na myśli pół krwi angielskiej lub pół krwi wschodniej.

Pełny anglo-arab połączony z krwią nieudowodnioną, ale selekcyonowaną, daje produkt, który też, mojem zdaniem, najniewłaściwiej nazywa się koniem pół krwi. Bo niewiadomo zgoła, jaka krew w jego matce przeważa i zresztą anglo-arab zwykle za świeżym bywa produktem skrzyżowania, by mógł już dalej reprodukcją cechy jeszcze nieustalone.

Wszak dzisiejsze folbluty angielskie właściwie są niczem innym, jak tylko anglo-arabami; ale wielki troskliwej, celowej hodowli wykształciły z nich dopiero typ dzisiejszy, zdolny do reprodukcji dalszej. My w naszej hodowli idziemy prędzej, niecierpli-

wiej; i mamy — remonty... Jeżeli w czem szukać przyczyny braku jednolitego typu naszej, tak przecież starej już hodowli konia, to właśnie w charakterystycznej niecierpliwości i niechęci do wytrwałego systemu.

Jakież nieprawdopodobne połączenia spotyka się w rodowodach koni, zgromadzonych na naszych wystawach! Folbluty angielskie, pełna i $\frac{1}{2}$ i $\frac{1}{4}$ krew orjentalna — i hanowerskie — i oldenburgi — i „węgierskie“ — i „Gidrapy“ i „Noniusy“ i trakejny i roadstery i normandy i kłusaki amerykańskie albo orłowskie... I z tego wszystkiego ma być — koń pół krwi? Czy można mówić o „kierunku“? O ustaleniu go wobec takiej dowolności w eksperymentach...?

A o zimnej krwi w matkach nie mówi się już nawet — bo wiadomo! nie wypada...

W ogromnej ilości koni, zgromadzonych na wystawie w Lublinie, było dużo dobrych, nawet pięknych; w stajniach, gdzie jakiś system hodowlany przetrwał bez eksperymentów jakieś lat — przynajmniej kilkanaście. Ale jeżeli postawi się obok siebie dobre pół krwi konie, dajmy na to, ze stada w Niezdowie, w Rejowcu, w Kurozwękach, w Jacentowie, w Trzebieniu, we Wrzącej wielkiej — to każdy z nich ma typ odmienny. Zasadniczo odmienny. Różnica nie polega na szczegółach budowy tyle, co na odmiennościach zasadniczych, cech, z których wnioskuje się o zaletach. A podobieństwo mają jedno: są „w ciele“. Wielkie, masywne, lśniące wierzchy; spody — różne. Hodowcy koni pełnej krwi u nas, wytworzyli typ swych stad. Można doskonale na pierwszy rzut oka poznać konia sernickiego, kruszyńskiego, stada ks. Czartoryskiego, (niegdyś hr. L. Krasieńskiego). Typu koni pół krwi u nas dotąd niema. Jest tylko dużo dobrych koni pół krwi i jeszcze więcej — remont.

Te remonty nie przedstawiają ideału konia wojskowego. Są często bardzo szlachetne. Ale ta szlachetność jest w nich jeszcze materiałem biernym, nie czynnym. Można z niej dużo wyprodukować w stadzie, spodziewać się dużo od niej w akcji — niemożna.

Konie kawalerji austriackiej np. są często mniej szlachetne, ale zdolniejsze do większego wysiłku, mają wyraźny przeciętny typ. U nas ten typ daje mundur jeźdźca i jego siodło. A postawić te konie nieosiodłane obok siebie — mozaika.

Tymczasem jednak hodowla ta mimo swej różnorodności i dowolności jest rentowną. Tylko rentowność jej jest jednostronną. Był czas kiedy szukano w Polsce konia wierzchowego. I znajdowano go. Dziś na wierzchowe pokup jest mniej. Ale dobre zaprzęgowe pół krwi opłaciły by

się. I można by ich dużo sprzedawać, gdyby zagranicą wiadano, że jest w Polsce typ taki. Ale trzeba żeby był. Nie przypadkowy, nie z eksperymentu, tylko z hodowli systematycznej. Niech sobie będzie z przewagą krwi angielskiej albo wschodniej. Ale niech będzie. Gdyby wszyscy dzisiejsi hodowcy zdecydowali się na wybór przypuśćmy jednego z trzech kierunków: pół krwi angielskiej, pół krwi wschodniej, anglo-araby — ale gdyby wybrałszy, prowadzili hodowlę już wytrwale i bez zboczeń, to za 10 do 15-u lat mielibyśmy w kraju trzy typy, ale każdy z nich mniej więcej zrównoważony i jednolity. I trzy partje wyborowego towaru na sprzedaż.

Póki jednak tego wyboru hodowcy nie uczynią i póki nie będą się go wiernie trzymali, póty o kierunku krajowej hodowli poważnie mówić nie można.

Ilościowo i jakościowo poza tem wystawa przedstawiała się bardzo ciekawie.

ZIEMIANIN.

NAPOLEOŃCZYCY.

(WIELKOPOLANIE W WIELKIEJ ARMJI.)

II.

HENRYK DĄBROWSKI.

Największy z nich. I największy ze współczesnych, dzielący się sławą jedynie z księciem Józefem. Twórca legionów, który sercem i szablą, myślą i orężem dążył „z ziemi włoskiej do polskiej“, jedyny, którego, obok Czarnieckiego, nieśmiertelnością po wiek wieków najnieśmiertelniejsza z piosnek.

Największy z synów Wielkopolski, jej słuszną chluba i duma.

W nim wcieliły się najdotatniejsze zalety Piastowej dzielnicy, wykwił najpiękniejszy kwiat rasy, wyrósł dąb wspaniały, krzepki i niezłomny, ponad głowy innych... Próżno były w niego pioruny losu, gromy ludzi. Oparł się burzom, oparł się widzom.

I tak stoi w naszej pamięci.

Dąb wielkopolski.

Jeden z tych rzadkich ludzi, który łączył w sobie męstwo i rozum, odwagę i rozwagę, rzutkość i wytrzymałość, zapał i przecenę. Wielostronnych, w najwybitniejszych stopniach, zdolności, — wódz, żołnierz i polityk.

Mąż opatrnościowy.

Najgorętszy polak i najprawszy charakter.

Jan Henryk Dąbrowski, ze starej rodziny wielkopolskiej, przyszedł na świat 29-go sierpnia 1755-go roku w Pierzchowie *vel* Pierzchowicach w krakow-

skiem. Dla ścisłości zaznaczam, że o miejsce jego urodzenia, jak o kolebkę wielu wielkich ludzi, toczył się spór; ale tak, jak wyżej, podaje sam. Zresztą rzecz to mniejszej wagi.

Matka Dąbrowskiego była Niemką, z domu Lettow. Ojciec, w służbie saskiej, rychle umieścił syna w swym pułku. Lata całe, które przyszy bohater przesłużył w kadrach obcej armji, nie przeszły po nim bez wpływu. Na razie nawet ten wpływ mógł się wydawać ujemnym Dąbrowskiemu, gdy później wrócił do kraju, z początku aż z trudnością przychodziło dobrze się wysłowić w języku ojczystym. Ożenił się też z Niemką, panną Rackel. I zdawać się mogło, że da początek jednej z tych rodzin żołnierskich pochodzenia polskiego, których nazwiska błyszczą na kartach obcej historii, jak Podbielskich i Franseckich, Leszczyńskich i Bogusławskich, wsławionych w wojnach 1866-go i 1870-go roku.

Ale nie przestało w nim bić serce polskie. Z obcych wzorów wziął tylko to, co z nich można było skorzystać. Więc naukę sztuki wojennej, służby wojskowej, dyscypliny, karność. I zapewne zarówno owym latom nauki u obcych, jak domieszce tamtej krwi przypisać można w niejkiej części to, co jest naogół tak rzadkiem nawet u najdzielniejszych osobników rasy słowiańskiej: bezprzykładną cierpliwość i wytrwałość, jakie cechują Dąbrowskiego.

Głos ojczyzny zawzywa go.

Przepaść już rozwarta, grób gotowy. Najszlachetniejsze, najświatlejsze, najdzielniejsze umysły wysilają się w rozpaczem wyteżeniu, by odwrócić, co jest fatalnem następstwem wiekowych grzechów. „Rzeczpospolita nierządem stoi“. Z rozpaczą widzi to Dąbrowski, powołany do reorganizacji, w roku 1791-ym.

— Trzebaby głowy wszystkim poodrzuć, a innemi je zastąpić — oto krzyk bólu, który wyrwa mu się z piersi.

Czyni jednak, co może.

Naród próbuje się dźwignąć. Zapóźno. Już pomoc sąsiadów nie pozwoli na to.

Dąbrowski wsławia się w roku 1794-ym przy obronie Warszawy, na Powązkach. Nawet właśnie ten czyn wojenny, w naszych oczach przygaszony może przez późniejsze, po dziś dzień w monografiach obcych wychwalany jest szczególnie ze stanowiska strategicznego. Ale i swoi uznają już wtedy zasługę „niemca“. Przyznać mu ją musi nawet zawistny Zajączek. Od samego Kościuszki odbiera pamiętną odznakę: „Ojczyzna swemu obrońcy“.

Wyprawa do Wielkopolski ustala sławę wodza. Lecz owym wielkim Dąbrowskim, tym, który w Panteonie naszej sławy narodowej ma jedno

z miejsc najpierwszych, robi go dopiero następny lat dziesiątek.

Legjony!

Na świeżej mogile płaczą jedni, załamują bezsilnie ręce drudzy, jeszcze inni z pokłonem obcym bogom gotowi.

Najtężsi błąkają się bezradnie.

Dąbrowski bierze się do czynu, czynu długiego i mozolnego, trudnego i, zdaje się, nieizszczonego. A jednak, jak mu potężny, trzeźwy, logiczny mózg wskazuje, jedynego czynu, który przynieść może ratunek.

Inni zebrzą pomocy po obcych dworach, składają u stóp ich litosne memorjały. A dwory pytają ich się: — Cóż nam dacie w zamian?

Dąbrowski znajduje odpowiedź: Damy wam armję na wasze usługi, ale, gdy wam się wysłuży—naszą jest.

Bo wie, że tylko „mocą odbierzemy“.

Najszałeński z rządów, rząd świeżo powstałej republiki, waha się jednak z przyjęciem tej propozycji. Waha się tej republiki geniusz, Napoleon.

Ale rzecz jest korzystna. Przyjmują.

Przyjmują — po jakich trudach, przedłożeniach, naleganiach tego, który myśl wielką w sobie wcielił! Ileż razy widzi Dąbrowski plany swe skrytykowane, zwłokę bez końca, propozycje odrzucone, zabiegi unieczystwione. Ledwo powstające legje topnieją, bywają rozwiązane, to wrywane mu z ręki, która je utworzyła, włączane do innych korpusów, tracąc swój charakter, — wreszcie, gdy pod tę chwilę są niewygodne, na śmierć się je posyła, pod przymusem armat, — do San Domingo!

A jednak są. I idą „z ziemi włoskiej do polskiej“.

I wiedzie je Dąbrowski.

Przetrwał wszystko.

Obojętność, niechęć i złość — protektorów, krytykę, wyrzuty i klątwy swoich, własnego sumienia i własnej odpowiedzialności nieraz lęk, bitwy mordercze i głód w biwaku.

Majątek sprzedał, więcej jeszcze dziur na mundurze, niż krzyżów miał, wiek cały męski poświęcił pracy, zdało się, syzyfowej. Nie młodzieniec zapalony i nie starzec w bezmyślnym uporze.

Jedyną rozrywką jest mu — poezja. Pod Bosco tomik Szylera, pod mundurem, ocala mu życie.

Pieśń wdzięczna dała mu nieśmiertelność.

Pod Jena to, co się zdawało niedościęciem, staje się rzeczywistością.

Ale czembądź się jeszcze wstawił później dzielny żołnierz i zdolny wódz, to wszystko są jeno listki, dorzucane do wawrzynu, który wieńczy skroń twórcy legjonów, na zawsze. Myśl polska, patriotyczna, rozumna i wytrwała, oto, co jest sławą Dąbrowskiego.

Z czynów wojennych wspomnijmy jeszcze tylko o genialnie obmyślanej wyprawie do Galicji, po bitwie pod Raszynem. To Dąbrowskiego myśl, wbrew oporowi innych, owocna w skutkach.

W walkach Wielkiej armji uczestniczy jako komenderujący osobną dywizją, walczy pod Mohylewem z Bagrationem, zasłania odwrót pod Berezyną.

Odnacza się w bitwach pod Grossbeeren, Lipskiem, Hanau.

Później... nici historii, nierozplątane dotąd, a może nigdy, zdają się wieść od Dąbrowskiego do — Łukasińskiego.

Bez wątpienia miał Dąbrowski pomiędzy swymi współczesnymi, towarzyszami broni, ludzi równie dzielnych walecznością i odwagą osobistą. Toż to był czas ludzi rycerskich. Pogarda śmierci największą chlubą nietylko, ale pierwszym obowiązkiem, powinnością żołnierza. Niebezpieczeństwa wprost szukano, urągając mu. Na armaty szło się jak do tańca, a szarża było gonitwą o pierścień.

Byli też wśród ówczesnych oficerów polskich zdolni wodzowie, zapewne nie geniusze, jak wódz wodzów, Napoleon, ale tacy, którzy dawali dowody swych zdolności w poszczególnych wypadkach.

I miłości ojczyzny zaledwie któremu odmówić można.

A jednak Dąbrowski góruje nad nimi wszystkimi. Równy męstwem, większy jako wódz, wśród najprawdziwszych polaków, największy rozumem i energją.

I nie z soli powstał, ani z roli, jeno z zasług własnych.

Ni to synowiec królewski, od którego niżej go postawią, ni intrygujący, nadskakujący potężniejszym, a w pogoni za popularnością, późniejszy książę-namiestnik.

Dlatego postać Dąbrowskiego jest taka jasna i czysta.

Dlatego wszyscy tak słuchają jego głosu.

Dlatego w pielgrzymstwie przyjeżdżają do Winnogóry po radę senatora—wojewody—banity.

Jenerał Jan Henryk Dąbrowski, senator-wojewoda, umiera 6-go czerwca 1818-go roku w Winnogórze pod Środą, majątku, nadanym mu jako dotacja przez Napoleona.

Żonaty był, po raz wtóry, już w dojrzałym wieku, z Barbarą Chłapowską. W prostej linii męskiej ród jego wygasł; pośrednio, przez linię żeńską, mogą się krwić jego pochłubić z rodzin wielkopolskich, mianowicie Mańkowscy i Kwileccy.

Powyższych słów kilka o wielkim bohaterze nie miały, wbrew nagłówkowi, na celu malować go jako — napoleończyka. Jest on na to za wielkiej miary. Udział jego w Wielkiej armji, tem bardziej, że z dywizją swą pozostawiony był dłuższy czas

w obserwacji, też nie zdawał mi się nadawać szczególnie do wykrojenia najmniej może interesującego skrawka z jego życia. Ale, z drugiej strony, mówiąc o wybitnych synach Wielkopolski z owej doby, niemożliwym było pominąć najwybitniejszego z nich, Dąbrowskiego. Ztąd tych zdań parę o nim.

Trudno w nich było dać więcej niż kilka rysów wielkiej postaci. Staralem się w nich uwypuklić to, co w bohaterze było najwięcej bohaterskiego. Jako *curiosum*, malujące sposób, w jaki się u nas często traktowało, a pono czasem i dzisiaj jeszcze traktuje — ludzi zasługi, cytuję tu głos jakobiński o wielkim polaku: „intrygant, uzbrojony tylko hipokryzją i bezczelnością, bez żadnych realnych talentów, wsparty współnictwem kilku politycznych oszustów, — Jugurtha“ (!)

Ale, jak już współcześni zdążyli docenić wielkość twórcy legjonów, tak i my, potomni, patrzymy ku niemu z jedną, ogromną czcią i miłością.

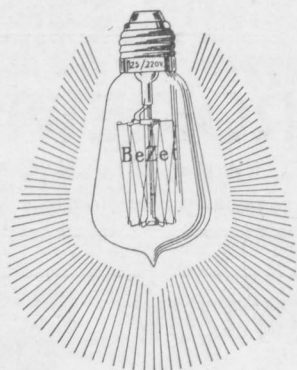
Pod jednym względem jesteśmy i my, niedzięczni. Dąbrowski niema dotąd swej obszerniejszej, nowoczesnej monografji. Doczekał się jej jego — przeciwnik, a lojalny towarzysz broni, książę Józef Poniatowski. Mają obszerne prace o sobie znacznie mniejsi. Podwójny zdrajca Mochnacki aż dwie, a ten temat nikogo nie nęci? Czy też odstrasza wielkość człowieka — ludzi małych?

Najpiękniejby było, gdyby kto z wielkopolan uczcił — swojaka.

A więc, kto ma czas i środki po temu...

Byłbym szczęśliwym, gdyby słowa powyższe mogły ku takiemu poczęciu stać się pobudką.

LUDWIK ROMOCKI.



BIURO URZĄDZEŃ ELEKTRYCZNYCH
WACŁAW BRYGIEWICZ, MICHAŁ ZUCKER i S-ka
 WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 119. (TEL. 37-40).
 ADRES TELEGR.: „BEZET“

INSTALACJE, OŚWIETLENIE, MOTORY.
 ZASTOSOWANIE ELEKTRYCZNOŚCI W ROLNICTWIE.
 DOSTAWA ARTYKULÓW ELEKTROTECHNICZNYCH.

MAG Z PENDŻABU.

Nie mówiłem o nim, chociaż widziałem go w nocach bezsennych, martwym światłem księżycy oblanym. Bo wydała mi się słuszną obawa, że kiedy w słonecznej swej przełęczy zechce zejść w doliny świata, by z nagromadzonej w jaźni mądrości rzucać kaskady światła na ród ludzki, stolicę Beocji napewno ominie. Ma przecież do wyboru i Ateny uczone i Leopoldis do przyjęć skorą, i miasto swe rodzime, syrenimi głosami wabiące. Milczałem więc, a ze mną ciszą tchnęły senne rzesze mych siostr i braci.

I już myślałem, że przyjdzie nam pruć do końca nic życia w niemem, bolesnem oczekiwaniu, kiedy naraz do Teb naszych spadła kędyś z obłoków wieść niespodziana: mag, wielki mag z Pendżabu przybywa! Idzie z zadumą na lśniącym czole, pod którym zgromadził skarby wiedzy czarodziej-skiej, a uczniowie jego skwapliwie torują mu drogę. I pochylały się ku sobie twarze radosne i szeptały w upojeniu nowinę szczęśliwą, a heroldzi przebiegali wszecz i wzdłuż miasto zwiastując, co i kiedy mistrz prawić zechce.

A on z ryżem sypnym w fałdach swych sukien, wkroczył do miasta i nie zatrzymując się nigdzie, wszedł do domu nowego tuż przy jadłodajni publicznej i rzekł do zdumionego gospodarza: tutaj zamieszkać. A ten oddał mu swe łożo, puchami wysłane i wskazał spiżarnię i mięswo, rybę suszoną, podplomyki i wina przednie bogate, i prosił, aby jadł i spoczął po drodze. Sam zaś legowisko urządził sobie na dachu, aby tam czuwać nad spokojem gościa dostojnego. A że przed domem jego znajdowało się miejsce, rychło zaległy je tłumy, wyczekujące cierpliwie, czy mag, z Pendżabu przybyły, przemówić nie raczy. Lecz on nie pokazał się tego wieczoru, bo pogardziwszy miękiem łożem legł już był na podłodze twardej, zjadł garć ryżu, wypił dzban wody i zasnął snem sprawiedliwych.

Aliści nazajutrz kazać rozpoczął. Wchodził do mieszkań wybranych dostojników miasta, gdzie już zebrani mężowie i niewiasty czekały nań z upragnieniem. A kiedy złożono denary ofiarne i wśród dymu kadzielnic oddano mu pokłony głębokie, mag wielki otworzył usta swe dobrotliwe. Gdy widział zaś twarze niewiast wylękłe, a mężów oblicza frasobliwe, azali lot jego myśli uchwycić będą mogli, w łaskawości swej mówił sposobem tłumy jak następuje:

„Zaiste nie danem wam jest zrozumieć słowa moje, gdyż jesteście słabe i mdłe w umyśle waszym. I jeden jest tylko, który pojmie naukę moją, a tym jestem sam. Ale może słowo, jakie z ust

moich wstąpi w was i głupie dusze wasze rozświeci. I pokłoniły się męże z pokorą, a niewiasty na twarz padły struchlałe. A on kazał dalej:

Przeczytałem wszystkich pergaminów zwoje, które mędracy świata spisali, od brzasku do zmroku trzymając je na kolanach swoich, i nic z nich nie pamiętam. A we mnie wstąpił duch Brahmny, który przed wieki w mętnej wodzie ryb szukał. Wasze dusze atoli mieszkwały w królikach i wróblach swarliwych i plemię wasze jest obfite i niechaj tak będzie po wsze czasy. A któraby z niewiast usta swe grzeszne zbliżyć chciała do twarzy męża, niechaj kaja się i złoży denara na ofiarę dla mnie.

Zaistę mówię wam, nie jabłoń rodzi jabłka, ale owoc szuka gałęzi, na którejby zawisnął. A mądrość jego większa jest od jabłoni. Zaś chęci dzierlatki macierz niechaj niżem nie pęta, jeno rozumem ją kieruje. I spojrzalem na niewiastę służebną, aliści powstał geniusz. Była bowiem we mnie chęć nieprzeparta i dobrze się stało. Drogą moją idźcie, a zajdziecie daleko“.

A wzięwszy niewiasty na stronę do mieszkania swego gospodarza i odebrawszy od nieślubnych podwójne denary, rzekł im ranną godziną:

„Bogactwo i wszelki pieniądz marnością jest. Nie mówcie nic mężom i braciom waszym, jeno zanieście denary wasze do skarbcza, który mi wiadom jest. A kiedy wypełni się skrzynia największa, przyjdę do was i zabiorę ją. A toby chciał złożyć dalszą ofiarę, niechaj to czyni szybko“.

Tu westchnął mag wielki i zjadł kilka ziarn ryżu. A potem kazał dalej przez dni kilka. I niewiast grono przysięgło na znak, że nie było mędrca

większego na świecie, a jako sarny szybko konie biegaly za nim i przed nim. Mężowie zaś, co mówili przeciw niemu, zostali publicznie ukamienowani. I słusznie, tak się stało, gdyż w stolicy Beocji zasie prawić półmędrkom.

A kiedy wypełniły się dni pobytu maga w Tebach, zboczył do jadłodajni publicznej i zjadł tuczoną pętarke ku przerażeniu niewiasty, co ryż na dłoni białej mu niosła. Ale mistrz spojrzął na nią surowo i milczenie przykazał.

W końcu zaś zamyślił się głęboko, albowiem znów Brahma w duszę mu wstąpił i postanowił odejść precz z krainy niewdzięcznej, gdzie i niewiasty, uwielbienia pełne, kroki magów śledzą. Lecz przypomniał sobie, że zgubił był list żelazny, który mu podwoje do krainy Pendżabu otwierał. I byłby musiał mag wielki pozostać na zawsze w Beocji, gdyby nie powiernica wierna jego myśli. Już stróże pancerni bramy miasta zawierać poczynali, gdy niewiasta przybiegła z kluczem bramy granicznej od kupca słodkiej małmazji, przez maga trzykrotnie przeklętej.

A on, — o wielki magu! — nie pogardził i tą ofiarą. W wielkoduszności swej pozdrowił niewiastę, gospodarzowi swemu, który nad odejściem mistrza łązy słone ronił, garść nietuskanego ryżu w dłoń wsypał i z małym tylko mieszkaniem denarów złe Teby porzucił.

I znów w noc bezsenne widzę postać wielkiego maga, jak groźnie duma na tarczy wsparty księżycy, dokąd z Pendżabu się przeprowadził. I widzę łązy ciche, które płyną z oczu tych, którzy jak ja w uwielbieniu mądrość jego, — niestety bez skutku — wchłaniali.

TADEUSZ JAWORSKI.

Najlepszą Tekturę Smółcową, Lak asfaltowy, Smołę gazową, Krycie dachów z długoletnią gwarancją i Roboty asfaltowe

Poleca:

Fabryka Tektury Smółcowej i Asfaltu **STEFAN SOROKIEWICZ i S^{KA}**

w Warszawie, Kantor: Szpitalna № 12 telef. 69-87, Fabryka: Okrag № 6 telef. 70-87.

oooooooooooo Próby, kosztorysy i cenniki na żądanie wysyłamy bezzwłocznie. ooooooooooooo

A. HERTEL

FABRYKA POWOZÓW

W WARSZAWIE, DŁUGA № 29.

TELEFON № 22-21.



Revue de l'art de 1850

Najpierwsza krajowa fabryka **POMPSikawek, Narzędzi ogniowych i Aparatów assenizacyjnych**

42 wyższe nagrody na wystaw. w Europie i Ameryce

Józef Troetzer i S^{KA}

Egzystuje od 1842 roku

w Pruszkowie

Biuro w Warszawie
ul. Hr. Berga 2



Kronika wiejska.

Lipiec.—Walka o dwór i plebanię.—Zamach na wieś.—Symbol niezależności.—Grunty drobno-szlacheckie.—Szkoly początkowe gminne i powszechne nauczanie.—Legenda o pięknej Polce.

Lipiec!

W nieprzerwanym biegu czasu przeżyliśmy połowę roku, będącego stuletnią rocznicą owego, o którym „dotąd lubią starzy bajać“, o którym „dotąd pieśń marzy“, bowiem „zdawna był niebieskim oznajmiony cudem“.

Uplętnęło wiele wody i wielkie zaszły też zmiany na świecie.

Już dziś ludzie

...nie poglądają z trwogą ku zachodniej stronie,
jakby z tej strony miał się objawić cud jaki,
Nie uważają z trwogą wracające ptaki.

Minęło stulecie od chwili, kiedy Bóg był z Napoleonem, Napoleon z nami, a serca wszystkie odgłosami wojny wzruszone, nie mogły zaznać spokoju; stulecie pełne zmian i niepokojów i walk, które w różnych formach po dziś dzień się ciągną. Ot! i teraz toczy się walka wprawdzie bezkrwawa, bez prochu i armat, jednak niemniej zacięta, pełna namiętności, walka o lud polski.

Istnieje w kraju naszym pismo, dla ludu przeznaczone, *Zaranie*.

Pismo znalazło gorące poparcie w sferach postępowych i w pewnej części prasy, ale naturalnie naraziło się duchowienstwu. Dopóki bowiem prowadziło atak przeciw plebanji i dworowi, było jeszcze pół biedy, skoro jednak w walce tej, przy rozognieniu namiętności padły hasła skierowane wręcz przeciwko religji, skoro od osób walka przesunęła się do ataku zasad, biskupi polscy z ambon kościelnych zabronili czytywać *Zaranie*.

Zawrzało tedy w obozie postępowym, który jest u nas zjednoczonym. Zwołano wiec i wydano manifest w formie protestu.

Im więcej namiętności i zapamiętania wykazuje stronnictwo reformy tem więcej trzeba spokoju i równowagi ze strony czynników ładu i zgody. Nam nie wolno walczyć ze sobą, w domu, na ostre i nie wolno też zapominać, że świat nie stoi w miejscu. Każdego nowego ruchu zbudzonego z dążeń do prawdy trzeba umieć wydobyć czyste iskry duchowej, szlachetnej tęsknoty do światła, podtrzymać je, a nie gasić! Tylko wówczas zgoda i porządek będą mogły istnieć bez gorszących, rozdławiających nas i osłaniających walk.

Z okazji powyższej waśni, posypały się w pismach quasi-postępowych najróżniejsze insynuacje na duchowiaństwo katolickie, nie od rzeczy więc będzie przytoczyć tu dziwnie wzruszający opis bohaterskiego spełnienia obowiązku przez dwóch kapłanów.

**PADEREWSKI, KUBELIK, BATTISTINI,
ANZELMI** wykonali cały szereg nowych
utworów do gramofonu.

**PŁYTY DO NABYCIA W SKŁADZIE
B. RUDZKIEGO**
Marszałkowska 87.

Prywatne Gimnazjum Realne

Z INTERNATEM W ZAKOPANEM

ZAKŁAD NAUKOWO-WYCHOWAWCZY

O ROZSZERZONYM PLANIE

GIMNAZJÓW GALICYJSKICH

z dniem 1 września 1912 r. otwarta kl. I i II.

Z zakresu klas wyższych kursa przygotowawcze.

ZGŁOSZENIA PRZYJMUJE I INFORMACJI UDZIELA

Dr. B. GOFRON. — Zakopane, willa Szarotka.

**BIURO I PRZEDSIĘBIORSTWO MELIORACJI ROLNYCH
INŻYNIERA T. SKORACZEWSKIEGO**
WARSZAWA, ul. Mokotowska № 59, tel. 252-86.

FILJA: Śrem W. Ks. Pozn.

Wszelkie projekty i roboty ziemne. oo Kredyt melioracyjny.
Warunki dogodne. Poważne referencje.

Oto na ginącym Titanic'u znajdowało się pomiędzy pasażerami dwóch księży katolickich, którzy odmówili skorzystania z łodzi ratunkowych. Gdy statek przechylił się i począł pogrążyć, widziano ich, jak, stojąc na pokładzie wśród nieszczęśliwych, ginących wraz z nimi, podnosili ręce, udzielając im ostatniego rozgrzeszenia. Obaj księża utonęli. Jednym z nich był ks. Montwiłł, który się poświęcał duszpasterstwu wśród swych rodaków w Anglii, a obecnie dążył w tym samym celu do kolonii Litewskiej w Stanach Zjednoczonych.

* * *

W czasach obecnych, kiedy nasze sprawy agrarne zajmują umysły i zapalają serca, zjawili się reformatorzy stosunków wiejskich, zalecający osadnictwo rozrzucone, wbrew przyrodzonemu instynktowi ludzkiemu — osiadania gromadnie.

Zdawało się do tej pory, że skupianie się ludzi w gromady i zamieszkiwanie grupami jest przyrodzoną koniecznością człowieka.

Początek XX wieku przynosi pod tym względem nieoczekiwaną zmianę.

Każda posiadłość wiejska ma być w odrębnej figurze, zbliżonej, przypuścimy, do kwadratu, w środku którego stanie dom mieszkalny, budynki gospodarskie i t. p. Przyniesie to wiele korzyści, gdyż gospodarz będzie miał całą swą chudobę na oku, a więc ułatwi mu dozór i zwracanie uwagi na szkody sąsiedzkie; wszystkie pola będzie miał blisko, co zmniejszy koszt pracy, skróci zwózkę plonów i wywózkę nawozu; uniknie się niebezpieczeństwa masowych pożarów wsi, co obecnie musi być na porządku dziennym wobec zwartych budowli, krytych nb. łatwo palnym materiałem.

Jestem zbyt wielkim miłośnikiem wsi polskiej, aby podobnego projektu nie uznać za zamach na jej całość. W wyliczonych korzyściach nie widzę jeszcze dostatecznych powodów do zniesienia wsi i zastąpienia ich przez odosobnione domostwa, czy zagrody.

Wielką też wdzięcznością zabiło mi serce dla *Kurjera Warszawskiego*, który pomieścił w tej sprawie artykuł p. H. W., przedstawiający w sposób nadzwyczaj wymowny — odwrotną stronę medalu.

Według zdania p. H. W., rozrzucanie sadyb bynajmniej niedogodności dzisiejszych nie usuwa.

Przyczyni się niewątpliwie do zmniejszenia masowych pożarów, gdyż w razie nieszczęścia ognia, spali się jedna

sadyba, na inne, w oddali stojące, ogień nie przeniesie się łatwo, ale z drugiej strony, w razie takiego nieszczęścia niema i ratunku. Na wsiach przecież stróżują po nocach jeden lub kilku gospodarzy i w razie ognia — nie trudno im zbudzić wieś całą, aby śpieszyła do ratunku, a chociaż nie zawsze da się uratować budynek, chociaż niekiedy niepodobna uratować inwentarza i ruchomości, to przecież niesłychane są wypadki, aby w płomieniach ginęli ludzie. Nierzadko się zdarza, że mieszkańcy płonącego domu śpią w najlepsze, lecz poblizcy sąsiedzi zdołają ich na czas obudzić.

Drugą niedogodnością omawianego projektu jest — szkoła.

Trudno wymagać, aby każda odosobniona chata miała swego nauczyciela; nauka dzieci wiejskich odbywa się przeważnie zimą, lato bowiem pochłania im czas przy gospodarstwie. We wsi jedna ulica, przy której stoją domy, jest utarta, wydeptana i w kilka godzin po spadnięciu śniegu, swobodnie po niej chodzić można. Na ten szczegół nie zwracają uwagi projektodawcy ustawy komasacyjnej w kraju, gdzie nie tylko naraża się dziecko na przedzieranie się przez zasypy śnieżne, lecz gdzie niekiedy wilki pod same opłotki podchodzą i gdzie nawet dorośli nie są od nich bezpieczni. Zresztą w miarę cywilizowania się —

gospodarz wiejski coraz bardziej odczuwać będzie potrzebę życia towarzyskiego, gromadnego, gdzie wspólne porozumienie, rada i pomoc sąsiedzka, nieraz natchmiastowa, są konieczne. Czy oszczędność siły pociągowej przy wywożeniu nawozu w ciągu kilku, czy kilkunastu dni w roku, czy chwilowa większa potrzeba siły pociągowej przy zwózce produktów z pola do stodoły nagrodzi mu brak bliskiego sąsiedztwa, bliskiego ratunku w chorobie lub nieszczęściu? Czy zrównoważy niebezpieczeństwo mieszkania w odosobnionych zagrodach przy rozpowszechnionych u nas złodziejstwach, rabunkach?!

zapytuje słusznie pan H. W. —

Bez wątpienia, rozrzucenie sadyb wiejskich przyniesie pod względem ekonomicznym pewne plusy, ale — kto wie czy nie doprowadziło by ludu do zdziczenia.

Cała nadzieja, że wieś polska z tego zamachu na jej całość, wyjdzie zwycięzko, silna swoją tradycją wieków, które doprowadziły ją do dzisiejszej krasy, ozdobiły tyłu wdziękami i utrwalają lud w przekonaniu, że nic nad nią piękniejszego niema w świecie!

* * *

BIURO MELIORACYI ROLNYCH ORAZ BUDOWY CEGIELNI I FABRYK DRENÓW.

INŻYNIEROWIE:

S. TURCZYNOWICZ, A. PONIKOWSKI, W. TROJANOWSKI i E. OSTROWSKI.

KREDYT MINISTERJUM ROLNICTWA I TOWARZYSTWA KREDYTOWEGO ZIEMSKIEGO.

WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 108 (róg Chmielnej), tel. 115-02. — Oddziały: WILNO, Plac Katedralny № 12 (dom Bogdanowicza), MIŃSK-LITAWSKI „HOTEL-GARNI”, przedstawiciel inż. IWASZKIEWICZ.

ZAKŁAD ORTOPEDYCZNO-CHIRURGICZNY I ZANDEROWSKI

D-rów W. ŁAPIŃSKIEGO i W. REKLEWSKIEGO

ALEJA JEROZOLIMSKA № 65, ————— Telefon № 20-22.

Choroby kręgosłupa (skrzywienia, garby) stawów, kości, mięśni, nerwów, przemiany materji (artretyzm i t.p.). Mechanoterapia (przyrządy motorowe), gimnastyka lecznicza, przyrządy do leczenia elektryczno-sświetlnego i gorącym powietrzem.

NAWOZY SZTUCZNE

NAJKORZYSTNIEJ NABYWAĆ

w Warsz. Tow. Akc. **Ludwik Spiess i Syn** w Warszawie.

Tymczasem, ziemia stała się u nas symbolem niezależności.

Przeżyliśmy w murach miejskich wiosnę tegoroczną, która dość skąpo wprawdzie obdarzała nas swemi czarami, zdołała jednak natchnąć wielu wieszczów do opiewania jej wdzięków różnej wartości rymami i wielu publicystów do zwrócenia uwagi na wieś.

Wiosna bowiem budzi zawsze w mieszczeniu tęsknotę za wsią.

Coprawda, typ naszych uczuć i pożądań jest — wiejski, raczej ziemiański, wiele bowiem inteligencji miejskiej składa się z dobrowolnych, lub przymusowych zbiegów ze wsi. Więc w pełni, czy na schyłku życia oczy zwracają się chętnie do dworów i dworków, skąd ci ludzie wyszli, boć przecież ta ziemia jest najtrwalszym i najpewniejszym dobrem, nie tylko w znaczeniu moralnym, lecz i ekonomicznym, bo przedstawia stały, naturalny przyrost wartości, na niezłomnym prawie renty gruntowej oparty.

Dlatego też tym, którzy przy niej pozostali, wytrwali, własnym potem ją zrosili, — powodzi się dobrze, uciekinierom zaś — różnie.

Nic nie daje tak silnego zaspokojenia najbardziej zakorzenionemu poczuciu własności, jak ziemia.

Ciekawe uwagi w tej sprawie głosi pod wpływem wiosny kronikarz *Biblioteki Warszawskiej*:

W niczem nie streszcza się tak silnie poczucie niezależności osobistej, najszlachetniejszego dążenia jednostki do wolności osobistej. Jeżeli równość jest mrzonką, a dążenie do niej tylko zazdrości wyrazem, wolność jest najwyższym wykwittem nieznośnego więzów ducha ludzkiego, najszlachetniejszym porywem jego majestatu. Wcielenie ideału tego widzimy w życiu, w zakresie możliwości widzimy na własnym tylko kawałku ziemi. Próżne i nieprzekonywujące są utyskiwania zgorzkniałych rolników na zależność ich od najkapryśniejszej z pań — przyrody i sługi jej pierwszej — aury. Próżne, bo zależność człowieka od przyrody jest absolutną i nieuniknioną koniecznością wszędzie i zawsze, na wsi i w mieście, chociaż inaczej się objawia. A jarmem życia nie jest ta zależność niezłomna, lecz zależność jednostki od jednostki, człowieka od człowieka, cecha zasadnicza pracy na wsi i w mieście. Na własnym kawałku ziemi człowiek sam sobie panuje. A to panowanie jest obrazem wszystkich i nieograniczonych możliwości w olbrzymiej skali od najpracowitszego chłopca francuskiego, niewolnika i męczennika ziemi i robienia majątku, do murzyna Stanów Południowych, wygrzewającego się leniwie na słońcu i żywiącego się owocami paru drzew palmowych.

Mur ochronny istnienia stanowi prainstynkt człowieczy posiadania czegoś na własność, objęcia czegoś rękami z tryumfalnym okrzykiem: „to moje“.

* * *

Podług informacji Biura Pracy Społecznej, ministerjum spraw wewnętrznych wniosło do Dumy projekt prawa, który ma ostatecznie uregulować sprawę komasacji gruntów drobnej szlachty, mianowicie dział IV prawa z d. 29 Maja 1911 r. ma otrzymać zastosowanie w Królestwie, nie czekając na wprowadzenie u nas komisji rolnych. Na zasadzie tego prawa, wsie drobno-szlacheckie mogą uchylać komasację większością głosów. Nowy projekt uzupełnia nadto przepis co do komasacji wsi drobno-szlacheckich ustępem o komasacji dla tej drobnej szlachty, która nie stanowi całych wsi, a jest rozrzucona wśród wsi włościańskich. Otrzymuje ona również prawo komasowania swych gruntów na osobnych zebraniach, *ad hoc* zwoływanych. Nowy projekt oprócz drobnej szlachty, obejmuje również odpowiednie kategorie drobnych rolników w Rosji.

Pomimo usilnych starań, wątpliwem jest, czy ten pożądaný projekt zdąży być rozpatrzony i zatwierdzony przez III Dumę.

* * *

W ostatnich czasach w wielu miejscowościach kraju, zaczęto się interesować sprawą wprowadzenia w życie w gminach planu, powszechnego nauczania. Urzeczywistnienie tego planu wymaga otworzenia szeregu szkół gminnych, rozłożonego na szereg lat, po jednej zwykle szkole rocznie. Przy uchwaleniu takiego planu co do pokrycia gminy siecią szkół początkowych, nasuwa się kwestja, co robić ze szkołami prywatnymi, utrzymywanymi w granicach gminy przez dwory i fabryki.

Doniosła ta sprawa zwróciła na siebie uwagę posła Grabskiego, który proponuje włączenie podobnych zakładów naukowych do sieci szkół, urzeczywistniającej powszechne nauczanie. Prawo podobne włączenia przewiduje, a w Rosji ten system jest często stosowany. Korzyści takiego postępowania są następujące: przy włączeniu szkoły prywatnej do sieci szkół początkowych w gminie, szkoła nie przestaje być wcale szkołą prywatną, a tylko traci prawo do pobierania opłaty za nauczanie i winna być otwartą dla wszystkich. Stosunek utrzymujących szkołę do nauczycieli i do nauczania pozostaje niezmienny. Natomiast włączenie szkoły zapewnia jej zasiłek skarbowy w sumie 390 rub. rocznie na jeden komplet 50 uczniów, co pozwoli rozszerzyć szkołę, lub ją ulepszyć. Warunkiem otrzymania danego zasiłku jest uchwała gminy o zaprowadzeniu sieci szkół i o włączeniu do niej danej szkoły prywatnej, przyczem gmina musi się zobowiązać, w razie zamknięcia danej szkoły prywatnej przez utrzymującego ją lub przez władzę, że zapewni w swoich szkołach nauczanie dla danego kompletu dzieci.

* * *

Jedyné pismo polskie półurzędowe, *Gazeta Lwowska*, zamieściła tak piękną legendę o pięknej Polce, że dla wiadomości Nadobnych Czytelniczek warto ją tu powtórzyć.

...Niegdyś zstąpiła cudna wróżka z tęczowej krainy państwa swego, w szczytnym zamiarze obdzielenia darami cór ziemi naszej. Sługi wróżki, figlarne chochliki, pobiegły i jęły zwoływać mieszkanki wszystkich krajów, aby przedstawicielka każdego stanęła przed obliczem dostojnej pani.

Gdy się wszystkie zebrały, powiedziała im czarodziejka: „Chcę, aby każda z was była zadowolona z daru, który wybrałam dla niej!“

Hiszpance przeznaczyła włosy czarne i długie, Włoszce dała oczy ogniste, Angielce — płeć z kielicha lilji i płatków różowych; Niemce — sentymentalność, Wiedence piękne kształty, Francusce — kokieterję, Rosjance — ząbki, jak perłki; Rzymiance — dostojność posągów królewskich. Usta Neapolitanki rozjaśniła uśmiechem, w główkę Irlandki włożyła dowcip, a zdrowy rozsądek oddała Flamandce.

Gdy już skończyła rozdawanie cudownych darów, stanęła przed nią zadyszana Polka.

— A ja co dostanę? spytała.

— Nic już nie mam, ale samaś winna, dlaczego przyszłaś tak późno?

— Ja... trochę się spóźniłam, bo... taki u nas w kraju zwyczaj, szepnęła zawstydzona.

— Oryginalny zwyczaj, — zdziwiła się wróżka, — więc wy zawsze się spóźniale?

— Tak, o boska pani, zawsze! Do teatru przychodzimy zawsze po rozpoczęciu widowiska, na kolej po odejściu pociągu, do biura w kwadrans po oznaczonej godzinie, na bal w parę godzin później, niż opiewa zaproszenie, 'uż dzieci

nawet spóźniają się do szkoły... Wszyscy nas wyprzedzają wszędzie: w nauce, w przemyśle, w życiu... Ot i tutaj uprzedzono mnie, chociaż śpieszyłam się bardzo... My śpieszymy się zawsze — ale spóźniamy się stale.

Zamyśliła się dobra wróżka.

— Najlepszym darem dla polki byłaby — punktualność, — cóż, kiedy nie w mojej jest mocy!

Ale, że czuła miała serce i żał się jej zrobiło płaczącej niewiasty, rzekła więc łaskawie:

— Nie mogę cię karać za to, że się stosujesz do zwyczajów krajowych — nawet z własną szkodą! Ponieważ jednak cały mój zasób podarunków został wyczerpany, niech ci każda coś ze swego daru udzieli.

A taka ujmująca w swem zgnębieniu i łzach była Polka, że wszystkie inne niewiasty chętnie podzieliły się z nią częścią swych skarbów, rzucając jej to pasmo długich jedwabistych włosów, to uśmiech radości, to czułość serca, to umiejętność podobania się, to róże policzków, to szkarłat ust, to cząstkę dowcipu, to odrobinę zalotności, to zgrabność ruchów, tak, że wkrótce biedna wydziedziczona była najbogatsza i najlepiej uposażona we wdzięki!

Ale — punktualności — jak nie miała tak i nie ma dotychczas.

A że do pięknej wszędzie i zawsze stosować się musi część brzydsza rodu ludzkiego, więc u nas brak punktualności stał się właściwością, cechująca ogół cały.

Nieprawdaz, że piękna legenda, choć — smutna.

J. M.

BIBLIOGRAFJA.

Zygmunt Sosnowski: „O koniu w Polsce”. Warszawa, skł. gł. w księgarni „E. Wende i S-ka” 1912.

Skonstatowany oddawna w naszej literaturze naukowej brak poważnej hippologii skłania od czasu do czasu różnych amatorów i hodowców konia do wypełniania tej luki pracą własną. Chwalebność tej intencji, a często także i niekłamana ilość zużytej w tym celu pracy dają tym usiłowanym niewątpliwą markę dobrej woli, wobec której niemożna do nich stosować zupełnie serjo wymagań krytyki. Ozdobnie i z widocznym dążeniem do pewnej wytworności wydana duża (in quarto) książka p. Z. Sosnowskiego, obywatela ziemskiego z pod Ś-go Krzyża, „O koniu w Polsce” naukową i literacką wartość swoją nie zdołała stanąć ponad tym poziomem chwalebnej dobrej woli. Autor przez długie lata zbierał z prawdziwym amatorem do pracy tej materiały, podał je jednak w dość chaotycznym układzie, bez wyciągnięcia dla hodowli odpowiednich na poważnej podstawie opartych i dowodami stwierdzonych wniosków. Predyspozycja amatorska do hodowli orjentalnej, do posługiwania się końmi rasy arabskiej, przebija się z każdego rozdziału tej książki bardzo wyraźnie.

Ale dla teorii naukowej, dla wskaźnika poważnego w hodowli, trzeba czegoś więcej. Trzeba zestawień rezultatów hodowlanych i wyciągnięcia z nich wniosków. Trzeba systemu i jego poważnej obrony. Z punktu widzenia historycznej monografii konia polskiego, mającego przecież w hippologii światowej osobną swoją kartę, także można wymagać więcej. Z tytułu i objętości książki p. Sosnowskiego można było mianowicie wnosić, że przedstawi ona dość szczegółowo historyczny rys założenia i rozwoju polskich stad, że da nam źródłowy pogląd na całokształt polskiej hodowli. Zamiast tego w książce p. Sosnowskiego są tylko luźnie rozrzucone bardzo zresztą ciekawe materiały i wiadomości, jest także dużo amatorskich rzeczy jak np. obszerny zbiór przysłów końskich, koń w poezji polskiej, w rzeźbie i malarstwie i t. p.

Są także pewne omyłki. Stwierdzając to wszystko jednak niemamy bynajmniej zamiaru dyskredytować znacznej pracy p. Sosnowskiego, ani zniechęcać go do własnego dzieła.

Autor zapowiada drugie ulepszone i obszerniejsze wydanie i zwraca się do ogółu hodowców i amatorów z prośbą o nadsyłanie mu materiałów. Najusilniej popieramy tę odezwę i wierzymy, że znajdzie ona oddźwięk rychły i silny.

Hippologia w teorii jest rzeczą bardzo trudną i nadzwyczaj pracowitą, zwłaszcza wobec braku poważnych źródeł. A równocześnie jest ona dla poparcia praktycznej hodowli czynnikiem nieodzownym i należy gorliwie współdziałać wszelkim próbom poważnego jej ujęcia. Próby zaś te mogą podjąć tylko ludzie do pewnego stopnia niezależni w warunkach pracy i ożywieni zarówno znajomością przedmiotu jak i zamiłowaniem do niego. Pan Z. Sosnowski stwierdził w swej książce posiadanie tych poważnych i koniecznych kwalifikacji, jestem więc pewny, że dalsza jego praca wyda pożądane owoce. Dlatego książkę jego „O koniu w Polsce” polecić możemy jako ciekawe źródło i materiał w gałęzi zupełnie u nas zaniedbanej.

Estetyczny wygląd nadały tej pracy znane zakłady „B. Wierzbicki i S-ka”, w Warszawie.

DOM BANKOWY
T. SZEMPLIŃSKI i S-ka
WARSZAWA, NOWY-SWIAT № 40.

Kupno — sprzedaż papierów procent., akcji, asekuracja.
WSZELKIE INTERESY BANKIERSKIE.

Z dziedziny kosmetyki i higieny.

ODPOWIEDZI I RADY.

Zalotnej. Cieszy mnie bardzo, że Sz. Pani jest z mej rady udania się do Kalotechniki tak zadowolona. W dalszym ciągu niech Pani stosuje płyn Vesta oraz perełki alkaliczne, a wągrzy się nie powtórzą. Włosy przyjmują do analizy kalotechnika, Marszałkowska 116, telefonu 16-73. Lekarz zbada i zaleci odpowiednie środki. Kosztuje rb. 3.—

Otyłej. Herbatą D-ra Daloffa oraz pigułki Oxyleneowe stosowane przez trzy miesiące, usuną zbytnią tuszę. Są to środki wyprobowane i nieszkodliwe. Twarz myć otrąbkami Vesta z wodą różaną radioaktywną, oraz masaż Autowibratorem D-ra Johansena, a cera zawsze świeża i gładką będzie.

N. D. Przeciw suchej i łuszczącej się cerze polecam Emulsję Radium — działa szybko i znakomicie. Na kolor czarny najładniej i najtrwalej barwi farba D-ra Phonseca. W Wilnie dostanie Sz. Pani te środki u Grużewskiego.

Warszawiance. Wybierając się na lotnisko niech Sz. Pani zaopatry się w zapas płynu Vesta, który jest tak niezbędnym w podróży, zamiast mycia się, do oczyszczenia twarzy z kurzu, jako też zapobiega nadmiernemu poceniu się w lecie i powstawaniu wągrów. Będąc na wsi może Sz. Pani rozpocząć kurację włosów, mianowicie myć często włosy mydłem Antrasolowem płynnym, suszyć włosy na powietrzu, nie nosić żadnych postiches, ani też loków, wogóle o ile to możliwym nosić włosy rozpuszczone, aby dostęp powietrza do skóry był nie utrudniony. Co dzień nacierać skórę głowy Tassaliną, która ma własność wzmocnienia włosów i pobudzania ich do porostu.

Wszystkie te środki wysyła za zaliczką Kalotechnika. W Łodzi Spiess, w Kijowie Jurotat, w Krakowie Miklaszewski, we Lwowie Pawłowski, Akademicka 21, w Ciechocinku Wolman, w Piotrkowie Kryciski.

M-me LENA.